

# Bobo



JANUSZ KORCZAK

# Bobo

BOBO

*(Studium — powiastka)*

Bobo jest już stare: ma dwa dolne i cztery górne zęby, waży dwadzieścia trzy funty i jest zdaniem matki najmądrzejszym z bobów całego świata. Ojciec twierdzi, że bobo jest głupie jak but.

Matka jest tak dumna, jak gdyby bobo było jej własnym, nikomu uprzednio nieznanym wynalazkiem, który należy opatentować, opatrzyć numerem i oddać dla dalszej eksploatacji amerykańskiemu konsorcjum kapitalistów. Miewały wprawdzie kobiety bobów; ale to jest zupełnie inne, znakomicie ulepszone, nie dające się naśladować i niepodobne do żadnego z istniejących bobów świata...

Bobo siedzi na kolanach ojca, ciągnie go za brodę, stara się pochwycić czytana przez niego gazetę.

— Nie przeszkadzaj — mruczy ojciec, zmiatając bobowe ręce z gazety.

Bobo przechyla głowę i przygląda się ojcu ciekawie:

— Dobry cień nieruchomo pochylony nad płamą koloru mleka — co robi dobry cień?

Bobo się dziwi szeroko otwartymi oczami, lekko uchylonymi ustami i powolnym, zrównoważonym oddechem.

— Powiedz mi bobo — zapytuje wreszcie ojciec, odkładając gazetę — jaki jest twój pogląd na dzisiejszy układ stosunków politycznych?

Bobo pociąga za sznurek ojcowskich binokli<sup>1</sup> i odpowiedział: „grr... mff... waua” — podskakuje z wielkiej uciechy.

— Ach bobo, bobo — mówi ojciec z żalem — ty o polityce nie masz najmniejszego wyobrażenia.

Bobo zaś, ściągnąwszy binokle, podnosi do góry rękę, i mówi tonem zdobywcy:

— O-o-o-o!

A matka zwraca się do ojca:

— Rzućże ten wstrętny papieros, bo dziecko poparzysz.

— Ach bobo, bobo — ciągnie gorzko ojciec — ty jesteś wielki, wielki cymbał.

Tu bobo zaczęło mrużyć i przeszło z rąk ojca do matki.

— Biedny bobuś — żali się matka — od cymbałów mu wymyślają, ubliżają bobasiowi, znieważają; nikt bobasia nie szanuje.

Bobo nos kulakiem<sup>2</sup> wyciera.

— Biedny bobaś, nosek go śwędzi. Tata w nos nadymił. Powiedz: „be tata” — pogroź mu na nosku.

Tu bobo mruknęło po raz drugi, tym razem już energiczniej — i matka wybiegła z nim śpiesznie do sąsiedniego pokoju.

Tak, tak — bobo jest stare.

<sup>1</sup>binokle — rodzaj okularów noszonych w XIX w. i na początku XX. Trzymały się na nosie dzięki dodatkowemu elementowi łączącemu szkła. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>kulak — pięść. [przypis edytorski]

Małe bobo o sześciu zębach i dwudziestu trzech funtach<sup>3</sup> wagi przeżyło już tak wiele, że przeszłość jego może stanowić temat do wielotomowej powieści.

Wielotomowej powieści o bobie nikt nie chciałby czytać. Niechby nie czytali? Ale powieści też nikt nie chciałby drukować.

Postanowiłem o bobie napisać tylko powiastkę.

Przyćmij<sup>4</sup> lampę i czytaj powoli cichym szeptem — bo mówić będę o tajemniczym i dziwów pełnym przedhistorycznym prastarym okresie życia bobowego.

\*

Tak było już. Tak było, gdy Bóg dzielił światło od ciemności i zawieszał gwiazdy, każdą na swym miejscu i wiązał je niewidzialnymi nićmi wzajemnego ciężenia. Tak było, gdy światy rodziły się z chaosu.

Jeszcze się światy nie rodziły; istniała dopiero myśl ich stworzenia, czy też — myśli nawet nie było.

Błąkały się barwy i dźwięki, siły cieniami się ledwie znaczyły i dymem nikłym snuły uczucia, bezładnie pomieszane i rozproszone. A każdy ich okruch, krzyżując się, a obojętnie mijając z podobnym lub obcym sobie, żył sam dla siebie.

Nie, nie żył jeszcze, bo nie było życia, nie błąkał się, bo ruchu nie było. Toż nie było jeszcze przestrzeni ani czasu. Chwila równała się stuleciom, kilometr kurczył się, rozpadał, rozrastał w kilometrów setki i tysiące.

Nie było nic, jedna tylko istniałaby przyszłość, gdyby było pytanie albo przecucie przyszłości.

A jednak...

Rozlegnie się mocny głos, który rozkaże rozproszonym atomom łączyć się i społeczeństwem<sup>5</sup> budować, wyrzekając się siebie. I będzie błyskawica, i kropla dżdżu, i misterny kryształ — będzie bardzo dziwne: życie.

Czy i to już jest życiem, co rozproszonym atomom nie pozwala mijać się obojętnie, a wedle praw każe im się łączyć w mikrokonstelacje światów, które tylko przenikliwa myśl ludzka zamieszkiwać zdolna?

Będzie życie roślin od nikłej nici białej pleśni; a dęby rzucać będą ziarna, by z nich wyrosły synowie, gdy ciała ojców spróchnieją lub rozstrzaska konary ich piorun.

Będzie życie.

Będzie człowiek, który zapagnie odgadnąć tajemnicę życia — człowiek — dziwny twór.

Będzie...

Tymczasem pełna nieprzeczuwanych tajemnic a cudów mistyczna noc.

Będzie...

Bobo w błyskawicy poczęcia jest już wielkim cudem.

„Bobem” nazywam niemowlę, o którym piszę powiastkę.

\*

Mówią, że boba nie ma jeszcze, że dopiero przyjdzie. Bobo nie figuruje w żadnej księżce żadnej parafii, żadnego cyrkułu<sup>6</sup>, nikt go nie widział, ani matka nawet — dopiero oczekują, a ono już dawno było i jest.

Już serce jego rozpoczęło pracę, która się nigdy nie skończy, którą serce boba przekazuje sercu bobowego syna, wnuka i prawnuka, jak ją bobowemu przekazało serce dziada i pradziada.

Mówicie, że bobo którego jeszcze nie ma, liczy ileś tygodni czy miesięcy życia. Macie słuszność, a mylicie się. Ono jest samo dla siebie, nie zna waszego zegara ani kalendarza — bobo było zawsze i jest.

Nie tylko dlatego się mylicie.

<sup>3</sup> *fun*t — jednostka wagi obowiązująca dawniej także w Polsce (350–560 g). [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *przyćmić* (daw.) — przygasić. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *społem* (daw.) — razem. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *cyrkuł* — tu: dzielnica miejska. Warszawa była podzielona na cyrkuły do 1915 r. [przypis edytorski]

Stworzenie

Stworzenie, Narodziny,  
Ziarno

Dziedzictwo

Bobo nie ileś tam warunkowych miesięcy ludzkich żyje. Ono żyło już, rozproszone, zawieszona miliardem pyłów po szerokim świecie wówczas, gdy rozlegał się okrzyk: „zwalic Bastylię” — żyło, gdy lud szeroką falą płynął, by niewiernemu odebrać grób pokalany Chrystusa<sup>7</sup>; gdy wieńczono laurem skroń Sofoklesa<sup>8</sup>; gdy batogami smagani niewolnicy wznosili dumne grobowce faraonów, żyło jeszcze i jeszcze dawniej, gdy miało dziesięć tysięcy lat czekać na swe urodzenie.

Bobo żyło w mięśniu niedźwiedzia na dalekiej północy i w liściu wiecznie zielonej palmy upalnego południa.

Hej, co podróży odbyło bobo, zanim po raz pierwszy serce jego uderzyło.

Bobo było już dawno, najdawniej — żyło w plazmie leniwej ameby, istniało już w chaosie, z którego Bóg tworzył gwiazdy, rozwieszał je po niebie i umacniał niewidzialnymi niemi wzajemnej zależności: układał gwiazdy w społeczeństwa gwiazd.

— Tik-tak, tik-tak — bije serce boba.

Głuchy, cichy, monotony szmer i długi bez końca gościniec myśli...

Dla oczekiwanego boba szykują pieluszki.

\*

Bobo poczuło dotkliwy ból, doznało wielkiego przerażenia. Ból boba nie był naszym bólem świadomym, dojrzałym, doświadczonym, siwym, bólem ojcem i bratem. To pierwszy taki wielki ból.

Bobo doznało ciężkiego uczucia, podobnego do tych, gdy w śnie zmorowym<sup>9</sup> nagle jęczeć poczynasz; budzi cię mąż, matka lub żona i zapytuje: „czemu jęczałeś?” — a ty odpowiadasz: „nie jęczałem wcale” lub: „nie pamiętam, nie wiem”.

Gdy człowieka wśród czarnej nocy obca ręka chwyci za gardło, w obłędzie zduszenia nie ma obrazu pod powiekami, jest tylko czarny zdławiony krzyk w piersi.

Takim jest pierwszy oddech boba, taką jest ta jedna chwila — jedna, jak śmierć. Kapłan-ból poślubia małą istotę ludzką z życiem.

Bobo chwyciło płucami zimne powietrze i drząc, poczyna żyć samodzielnie, na własną odpowiedzialność. Połóż palec na ustach i milcz, bo widzisz cud. Staraj się czynić jak najmniej, bo nie wiesz, bo nie rozumiesz — rzucisz w myśl swą jedną wątpliwość, a wyrosnie gęsty las pytań bez odpowiedzi i zagadnień. Bobowi zimno, bobowi straszno, źle...

Już gotują rumianki, już niosą z apteki proszek troisty<sup>10</sup>, a ciocia pyta się przez telefon: — Chłopiec czy dziewczynka?...

\*

Bobo ma dwa sny: jeden czarny i martwy, gdy nie dzieje się nic, drugi brunatny i cichy, gdy dzieje się coś...

Noc głęboka, daleko do świtu. Leżysz z otwartymi oczami i patrzysz. W sypialni twej są wszystkie przedmioty, ale do świtu, gdy wynurzać się poczną z topieli mroków, daleko...

Stoisz nad świeżo obsianą skibą. Jeszcze łuska ziarna nie nabrzmiała, ale i w ziarnie, i w ziemi stało się wiele cudów, i wiele ich jeszcze będzie, zanim pierwszy zielony haczyk kielka się pokaże...

Bobo ma pod czaszką, w mózgu, dziwne motyle utkane z misternej przędzy, po której sunąc będą barwne obrazy, przenosząc się od stacji do stacji, splatając w rodziny i narody obrazów — myśli. Jeszcze przy przewodnikach i łącznikach nie ma kierowników — bobo koi rany walki o życie w godzinie urodzenia, i śpiąc, gotuje się do długiej, zaciętej walki o rozwiązanie otaczających je tajemnic, skąd płynie dobro i zło.

<sup>7</sup>gdy lud szeroką falą płynął, by niewiernemu odebrać grób pokalany Chrystusa — chodzi o krucjaty, czyli zbrojne wyprawy krzyżowe podejmowane od XI–XIII w. w celu odbicia muzułmanom miejsc świętych dla chrześcijan. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Sofokles (496–406 p.n.e.) — wielki tragediopisarz gr., autor m.in. *Antygony*. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>sen zmorowy — sen przykry i dręczący. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>proszek troisty (med.) — preparat sporządzany według kodeksu aptecznego (*Farmakopei*) wykazujący łagodne działanie przeczyszczające, stosowany na problemy trawienne i kolki głównie u dzieci. [przypis edytorski]

Brunatny sen bobowego czuwania jest dwojaki: jeden, gdy dzieje się coś brutalnie i źle, drugi — gdy łagodnie i mile. I bobo leży cicho lub krzyczy. Nie płacze, bo nie ma jeszcze łez.

\*

Matka nachyliła się nad poduszką boba, już szuka w nim myśli rozumnej.

— Spójrz bobus na matkę.

Bobo zwraca łysy łeb w stronę ust matki i poczyną ssać, szukając wargami piersi. — Bobo poczuło ciepło mowy matczynej, chce pić ustami miłość macierzyńską.

Innym razem, później nieco, padł na poduszkę ciepły strumień promieni słońca. Bobo poczęło szukać go i poruszać wargami, chciało pochwycić pierś słońca, chciało pić słońce.

Innym razem, znacznie później, gdy piastunka zanuciła kołysankę, bobo chciało ssać pieśń.

A matka już dziś szuka w nim myśli rozumnej...

Bobo nic jeszcze nie umie, nawet ssać nie umie: to śpieszy się, to ssie leniwie i sennie; zrobi pauzę długą, to poruszy głową niezgrabnie i pierś zgubi, i gniewa się, i boleje.

Tak niewprawnemu rzemieślnikowi wypadają z ręki narzędzia pracy, tak młodzian na pierwszym balu niezręcznie wymija pary, tak wreszcie niedoświadczony poeta z mozołem rymy dobiera.

Bobo ręką poruszyło, wyprężyło się, drgnęło — ma zdolność ruchów, nie ma w nich myśli.

Ale umie bobo trawić spożyty pokarm, wzrastać jego ceną, umie więcej niż najmisterniejsza maszyna, cud ręką ludzką stworzony, i mniej znacznie niż piskłę, które, ledwo wykluwszy się z jajka, biegnie za matką i już dziobie ziarno; mniej niż drobny owad, sunący rozważnie po listku leśnej rośliny.

\*

Bobo leży w swym wózku syte, suche, zadowolone — ogarnia je cicha drzemota<sup>11</sup>. Bobo mruży powieki, unosi je z mozołem, marszcząc czoło i krzywiąc usta. Oczy boba zwracają się bezładnie w różne strony, nie umie patrzeć.

Bobo zwalcza ogarniającą je senność, jak przewodniczący nudnego zebrania, które się nad miarę przeciąga. A dokoła szmery, tony, szepty, dźwięki; a dokoła blaski, cienie, błyski, płamy, mgła dźwięków i mgła barw.

I stała się nagle rzecz nadzwyczajna. Gałki oczne boba tak się przypadkowo ustawiły, że bobo przejrzało.

Widzi.

Szary świt narysował pierwsze niejasne kreski pysznego obrazu. Bobo zdziwiło się, ucieszyło, spłoszyło i zapragnęło wiedzieć.

Niegdyś, dawno bardzo, człowiek przez pierwszy niezgrabnie zbudowany teleskop posłał pytań pełne, a już dumne, już mniej korne spojrzenie ku gwiazdom. Przeżył chwilę ekstazy i wieki zawodów, walk, goryczy.

Pierwsze świadome: pragnę wiedzieć, pierwsze rozumne spojrzenie, pierwszy ból z powodu utraty tego, co posiadało, co nie było pokarmem, a jednak potrzebne, by żyć.

Bobo znów nie widzi, znów noc. I płakać zaczęło; a matka przywołała piastunkę, bo sądziła, że głodne.

Omyliła się: był to pierwszy płacz boba, nie że głodne, nie że pielucha zwinęła się w faldę, a że utraciło nieznany świat, krzyk niecierpliwości, upadku po momencie dumnego wzlotu. Było piękne, a znikło — i nie ma. Krzyk, protest przeciw niemocy ducha.

Ale bobo poczęło ssać chciwie, głusząc ból duchowy, żal serdeczny po utraconym wątku cennej idei, popełniło tę samą omyłkę, co matka.

\*

<sup>11</sup> *drzemota* (daw.) — chęć snu. [przypis edytorski]

Nachyliła się ciocia nad wózkiem, wzrok jej spotkał się z poważnym, badawczym spojrzeniem bobo.

— Śliczna dziecina — mówi ciocia do matki — krój ust ma twój, a oczy twojego męża.

Nachyliła się bardziej jeszcze, pocałowała bobo.

A ono drgnęło przestraszone.

Ciocia zawstydziła się pocałunku i strachu bobowego.

— Biedne małeństwo — mówi ciocia — twój umysł śpi jeszcze.

Umysł bobo śpi?

Ależ żaden umysł ludzki w żadnym życia okresie nie czuwa tak czujnie, jak umysł bobowy. Gdyby umysł ludzki zawsze tak spał, miałby myśl niebosiężną, wszechświat zbladłby o swe tajemnice.

Umysł bobo pracuje w ciszy o strasznej sile; a dziś niepodobne w nim do dnia wczorajszego.

Gdy staniesz w budynku maszyn na wszechświatowej wystawie, drżenie, huk i zawrotny bieg kół dech ci zapiera w piersi; a czymże to w porównaniu z pracą milionów motorów, kół i transmisji mózgu bobowego!

Bobo patrzy i myśli, myśli najbardziej tajemniczą i najżywszą mową, bez wyrazów — mową obrazów i ułamków obrazów, wspólną dla wszystkich bobów całego świata i wszystkich tworów żywych. Ono gromadzi i szereguje obrazy, zaludnia stacje duchowego telegrafu, tworzy materiał do pysznej budowli symbolicznej mowy ludzkiej, w której każdy obraz ma swój własny dźwięk i swą własną duszę, dobrą lub złą, ukochaną lub nienawistną.

Bobo smuci się, cieszy, dziwi, lęka, pyta i pragnie. Bobo wiąże już nikle wspomnienia sprzed godziny ze snem dnia wczorajszego i spleta ich tkaninę z nocą, gdy Bóg zwieszał gwiazdy na firmamencie. Bobo błyskawicą przebiega stulecia i tysiąclecia rozwoju myśli ludzkiej. Niezadługo prześcignie najmyślniejsze zwierzę i chwiejne fizycznie, bezradne życiowo, umysłem bratać się pocznie z geniuszem rodu ludzkiego.

\*

Porozmawiamy, bobo.

Słońce pada na twą głowinę drobną, wdzięczną.

Wzrok twój mówi, że jesteś już człowiekiem.

Biedne, jak mi cię żal.

Bo nie ma większego nieszczęścia, niż urodzić się człowiekiem.

Czemu, jeśli musiałoś<sup>12</sup> zbudzić się do życia, nie zostałeś kwiatem?

Czemu nie zrodziłoś się motylem?

Czemu nie piskłęciem leśnej śpiewaczki?

Im wyżej, tym smutniej...

Ludzie pragną wiedzieć.

Bobo, ile bólu w poszukiwaniu przyczyn, celów, drożyn, dróg.

Ile bólu...

Czy wierzysz bobo, że niegdyś?... Albo nie, czy sądzisz, że kiedyś?

Nie, nie.

Już nic — nic więcej nie powiem...

Marszczysz czoło?

Nie płacz, bobo. Przyjdą małe krzywdy, nie warto płakać. Przyjdą wielkie krzywdy, zapomnialeś płakać.

A pokolenia płyną, płyną...

Uśmiechasz się bobo, nie wierzysz? Masz słuszość. Tę drogę przejść trzeba samemu, nikomu nie należy wierzyć.

Masz słuszość...

\*

<sup>12</sup>musialość — 2 os. lp cz.przesz. r.n., forma bardzo rzadko używana. [przypis edytorski]

Bobo zawieszono w przestrzeni jak gwiazda. Bobo samo dla siebie nie istnieje przecież; zadrapie się własnym ostrym pazurkiem i krzyczy. Ręce, nogi, głowa boba to dalekie lądy jego świadomości, odkrycia odległej przyszłości.

Istnieje tylko drobna iskierka bobowej myśli, iskra mocna jak zawiązek pożaru.

Bobo ma oczy szeroko otwarte, wodzi nimi i bada otaczające cienie. Nie dostrzega plam nieruchomych, ale są, które zmieniają kształt jak chmury.

Bobo jest gwiazdą, która bada zmienne kształty chmur.

Leży na wznak, a dokoła cienie: matka, piastunka — ciemne plamy na jasnym tle, unoszą się w przestrzeni gdzieś powyżej, poniżej, i giną w górze.

(Bobo będzie musiało, siedząc na ręce, przebudować pracowicie stworzony światopogląd).

Istnieją myśli, uczucia boba — bez porównań, bo bez wspomnień. Istnieje badawcza myśl.

Dokoła poruszają się chmury. Z powodzi chmur boba wyodrębniło pamięcią jedną:

Cień, który najczęściej się ukazuje.

Cień, który nie zmienia kształtów, nie rozrasta się tak, że go nie ogarniesz wzrokiem.

Cień, za którym można wodzić oczami, bo nie znika nagle, jak wszystkie inne.

Cień bliski, bratni, który go nie opuszcza, z którym boba czuje się mniej samotne — pierwszy nauczyciel boba: własne jego ręce.

Jak myśliwy, zanim pocznie strzelać do odległej zwierzyny, uczy się celować do uwieszonej na sznurku butelki, tak boba celuje wzrokiem, uczy się chwytac w ruchu — własne swoje ręce.

Bobo w ciszy odbywa długie i mozolne studia: uczy się patrzeć, uczy się pamiętać, uczy się poznawać.

Nie wolno bobowi rąk krępować, bo mu one potrzebne.

\*

Mijają wieki, wiele stuleci.

Mówię: wiele stuleci, bo godziny bobowego czuwania przeplatane godzinami snu, chwile wesołych uśmiechów i uniesień gniewu, rozpamiętywań cichych i burzliwych rozpacz — godziny i chwile, które na tarczy zegara znaczą się bliskimi znakami, są dla boba okresami bez porównań, bez ściśle ustalonych w czasie wspomnień, nieskończenie długimi, zatartymi na szarej tablicy jego świadomości.

Wczorajsze wrażenie przeżywa boba dziś we wspomnieniu mglistym obrazem, jak stuletni starzec — pierwsze lata dzieciństwa.

Minęło wiele stuleci, zanim boba poczęło poznawać cienie dobre i złe. Dwa dobre cienie, które boba już zna, dwie jego ręce.

Dobry cień to pierś piastunki: wielka chmura zakrywa cały horyzont, daje ciepło i koi głód.

Kiedy się budzi, leży cicho, patrzy ciekawie, wsluchuje się czujnie, zwraca głowę w stronę każdego szmeru i każdej błyskawicy blasku.

Kiedy płacze, pokazuje mu błyszczące przedmioty — grzechoczą, pukają, huśtają — i boba znużone czuje się jak podróżny, który po wielu nieprzespanych nocach wpadł do kabaretu z obfitym, ciekawym programem i hałaśliwym towarzystwem: chciałoby się patrzeć i słuchać, a oczy ciężą ołowiem, a obrazy płyną po powierzchni świadomości jak szare chmury o zmierzchu.

\*

Zapał dużo światła i czytaj głośno, radośnie, tryumfująco...

Bobo jest już człowiekiem...

A stało się tak szybko i samorodnie.

Kto zbudził w bobie myśl, trzepocącą skrzydłami w pierwszym locie ponad łąką życia, barwną, gwarną, zasłuchaną w pieśń blasków wschodzącego słońca!

Myśli bobowa, jesteś jak zdroju powierzchnia, lekkim wiatrem mącona, drżąca obrazami pochylonych nad tobą serdecznych postaci.

Tyle gwiazd na niebie, przybyła jeszcze jedna.

Tyle drzew w borze, jeszcze jedna krzewina wykluła się z ziarna.

W chór ptactwa leśnego wplótł się jeszcze jeden małej naiwny głos śpiewaka...

Natura nie zna spoczynku, pchnięta do pracy potęgą niewidzialnej dłoni. Cudownie wyrzeźbiła małego człowieka mocą twórczego natchnienia. Natchnienie natury ma rozmach tytana i sumiennosc świętą. Ciśnie gromady gór w potwornym nieładzie, kroplami rosy obciosa każdy załamek, jeszcze mchem przystroi, którego źdźbło żyje i cieszy się, i wierzy.

Dzieło sztuki, mozolny twór pracy ludzkiej, ludząc wzrok, kłamie naturę. Uderz młotem w rzeźbę, będziesz miał tylko gruzy, skorupy, garnek rozbity. Pokraj mikrotomem<sup>13</sup> okrucz pazurka lśniącego na końcu różowego paluszka bobowego, zobaczysz pod drobnowidzem<sup>14</sup> szereg nowych pięknych obrazów.

Gdyby w małych nitkach bobowych żył nie płynęła krew, tocząc się przez rzeczki i rzeki do morza — serca, gdyby przez rzeki bobowych nerwów nie płynęły wrażenia do morza — mózgu, gdyby nie miało cudownej mocy wzrostu, byłoby jeszcze milionkroć bardziej skończone niż wszystkie dzieła martwej sztuki, rozwieszane w mrocznych salach cennego muzeum.

A ludzie zjeżdżają się z lądów świata, by je oglądać — popękane, spłowiałe, mozolnie wypocone w długich godzinach poprawek i przeróbek, skatalogowane, zachwalane i opatrzone ceną rynkową.

Ty bobo, nie masz ceny.

\*

Bobo jest dzikim człowiekiem, który już to i owo przeczuwa z otaczającego je świata, tłumacząc naiwnie związek wzajemny tajemniczych zjawisk.

Gdy bobo dawniej jeszcze leżało cicho z oczami utkwionymi w przestrzeń, nie rozglądając się, nie płacząc, nie żądając, rejestrowało<sup>15</sup> wówczas nagromadzony w duszy materiał obrazów, wyodrębniając spośród cichego szeptu słów prapradziadowej mowy dźwięczne wyrazy własnego, osobistego życia.

I oto, stokrotnie gubiąc i znów chwytając wątek rozpraszających się i skupiających, połowicznych, całkowitych, wyraźnych bądź szarych obrazów, skleciło sobie chatę biedną, skromny szałasik pierwotnego światopoglądu. Bobo nie ustanie w pracy, dalej gromadzić będzie kosztowne granity, olbrzymie belki i żelazne przęsła pod budowę wielkich pałaców myśli, a chatę dzikiego człowieka tylko na dziś, na jutro, bo myśl musi gdzieś spocząć, mieć domek mały, gdzie składać będzie mozolnie ciulane zapasy. Dopiero znacznie później, gdy mu się już szczęście pocznie, bobo-bogacz będzie od razu łamało wielkie bryły marmuru; dziś zbiera pracowicie kamyczek do kamyczka, ziarenko piasku do ziarenka.

Bobo wierzy w istnienie złych i dobrych duchów, w niosące łaski lub zwiastujące klęski. Sądziło bobo, że wszystkie są jednakowo potężne, że wszystkie są widzialne, że nie ma nad nimi mocy. Teraz wie, że duch — ból jest niewidzialny i dobry duch — matka zwalczyć go nie umie — wie, że istnieje zaklęcie, które przywołuje dobre duchy.

Zaklęciem tym jest krzyk boba. I teraz bobo krzyczy świadomie, celowo, by dobre duchy przywołać, by czujnie pełniły swą służbę.

Drzwi, poza którymi niknie piastunka, są niebem, które uśmiechnięte daje łaskę słońca, zagniewane milczy lub miota pioruny.

Jak człowiek pierwotny wsłuchiwał się w poszum lasu, szmer rzeki, wycie wichru, by rozkazy bogów wyczytać, tak bobo słucha uważnie i bada znaczenie wydobywanych przez dobre duchy dźwięków.

<sup>13</sup>mikrotom — przyrząd laboratoryjny do cięcia materiału na bardzo cienkie skrawki, z których robi się preparaty mikroskopowe. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>drobnowidz (daw.) — mikroskop. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>rejestrować (daw.) — rejestrować. [przypis edytorski]



Bobo wsłuchuje się uważnie w swe długie monologi i stara się pochwycić związek między nimi i ruchem własnych rąk.

Bobo przestało być obiektywnym obserwatorem, konstatającym obojętnie fakty, dziś pragnie zrozumieć, czy są one tworem złych, czy dobrych duchów, przyjaciół czy wrogów.

Gdy matka w kapeluszu nachyliła się nad kołyską boba, przestraszyło się, widząc, że dobry duch zmienił swój kształt. Widząc po raz pierwszy ruchliwą zabawkę, psa, kanarka w klatce, bobo, zanim nabierze zaufania, chce odgadnąć, czy dobry, czy zły duch się zjawił, i bada wzrokiem matkę wzrokiem zdumienia, pytania. Bobo ufa bezwzględnie swym dobrym duchom i wierzy w ich nieomyślność.

\*

Było to odkrycie olbrzymie, nadzwyczajne, epokowe, decydujące. Bobo nabrało pewności, że dwa cienie — ręce jego — są bezwzględnie posłuszne bobowej woli.

Już strasznie dawno bobo podejrzewało, że dwa bliskie cienie, dwa ukochane duchy dobre, mają jakiś specjalny wielki sens, są inne niż wszystkie pozostałe. Było to wówczas zaledwie niejasne przeczucie doniosłej prawdy.

Od świętej ekstazy w momencie pierwszego skoordynowanego spojrzenia, gdy wśród ciemności i jasności ujrzało bobo szare kontury otaczającego je świata, był to drugi dopiero moment tak ważny.

Wszelkie wiekopomne odkrycia, natchnienia, które jak błyskawica otwierają niespodzianie niebo świadomości, poprzedza długa, żmudna, mozolna praca, często wielu, wielu pokoleń.

Z szeregu faktów, w których coś się kryje, pozornie dziwnych, pozornie rozproszonych, od siebie niezależnych, przypadkowych, a jednak czymś związanych, a jednak mających jakąś u dna ukrytą wspólność, nagle rodzi się żywa oślepiająca synteza w najskrytszych komórkach mózgu. Zawile fakty cichym ruchem, niezależnym od woli i świadomości, układają się w szeregi i kolumny i nagle powstaje nowy świat idei, taki logiczny i jasny, ze swymi słońcami, księżycami, plejadą cygańskich komet i drogą mleczną.

Bobo, które zaledwie dorównywa człowiekowi epoki kamiennej, już brata się z geniuszami rodu ludzkiego.

\*

Kiedy dawniej dawano bobowi do ręki grzechotkę, chwytano ją mocno i przyglądało się zdziwione, bo ręka — dobry cień — zmieniła swój kształt. Grzechotka wydawała dźwięki, i bobo dziwiło się, że milczący dobry duch wydaje dźwięki.

Kiedy grzechotka wypadła mu z ręki, bobo dziwiło się, że dobry duch powrócił do swego dawnego kształtu i zamilkł.

Badania trwały nieskończenie długo, rozwiązanie wielkiej tajemnicy było tak odległe...

Ssąc własną piąstkę, bobo raz w raz<sup>16</sup> wyjmując ją z ust, ogląda uważnie, marszczy brwi i tonie w skupieniu.

Chwyciwszy przedmiot, bobo niesie go do ust, znów ogląda uważnie, coraz bliższe prawdy, a jeszcze niepewne, jak gdyby zatrwożone śmiałością swej hipotezy.

Bobo dalekie jest jeszcze od zupełnej prawdy: nie wie, że jego ręce — to ono samo, ale wie, że są mu posłuszne, że nie ma potrzeby wywoływać ich zaklęciem krzyku, że są na jego rozkazy, zawsze obecne.

Bobo jest olśnione odkryciem, pieści się swą władzą, pierwszą własnością — pierwszym stopniem do niezależności, wyzwolenia, mocy.

— Aba, a, aa, ooo — gaworzy bobo, kierując ręce to w tę, to w ową stronę, wodząc za nimi wzrokiem, już pewne, że się nie myli.

Ogarnia je znużenie po wielkim wysiłku.

Nagle matka uśmiechnięta pochyliła się nad nim. I bobo roześmiało się głośno, serdecznie. Matka przemawia najczulszymi wyrazami, a bobo to wyciąga do niej ręce, to kładzie je do ust i ssie, i śmieje się.

<sup>16</sup>raz w raz — raz za razem. [przypis edytorski]

Matka wyjęła mu rękę z ust, bobo przelękło się o losy swej nowej własności, krzyknęło głośno i boleśnie, zaprotestowało z taką siłą, że matka przybladła.

\*

Wszyscy uśmiechają się do bobo.

Sądzę, że stary dąb, patrząc na śmieszny kształt małego dębczaka o drobnych listkach, uśmiecha się doń zielonymi konarami, a mały dębczak, bezpieczny, wesół w cieniu ojcowskich konarów, szmerem cichym gaworzy do ojca. W wielkim cielsku starego dębu, w korze i korzeniach jego, tyle już martwych komórek, w żyłach starego dębu, krzepkiego jeszcze, soki krążą powoli, już jakby znużone; a mały dębczak pijąc krew macierzy ziemi, chwyta ją, pożywa i rośnie, rośnie, rośnie.

Zdaje mi się, że ptak każdy ma uśmiechy dla swych maleńkich, bo życzliwość dla przyszłych pokoleń jak mgła błękitna, pełna serdecznych drgnień, otacza wszystko, co wita jutro w jego drobnych, niedołączonych a rozkazujących poruszeniach.

Nawet poważne stare słońce — żywiciel, znajdzie uśmiech dla leśnej konwalii, a leśna konwalia odpowiada mu drzeniem białych płatków, wonią czystą.

Bobo odpowiada uśmiechem na uśmiech, nie dlatego, że go rozumie, nie że zna mowę serdeczną uśmiechu, ale dlatego, że tak było setki tysięcy lat, że dzień dzisiejszy tkliwie wita jutrzejszy poranek, a ten mu łagodnie odpowiada, że ten uśmiech płynie poprzez pokoleń tysiące i wiąże w jedną rodzinę braterstwa bielejące kości pogańskiego cmentarzyska z bobem, które płynąć będzie w przestworzach, bo ten uśmiech jest spoidłem ogni w łańcuchu pokoleń.

Jak pierwszy oddech jest odruchem niezbędnie poprzedzającym świadome życie bobo — bez tego nie byłoby życia, tak pierwszy uśmiech poprzedza myśl, bez niego nie byłoby myśli...

Uśmiecha się do ciebie matka, o bobo, nie ma żalu, że każdy dzień twego wzrostu jest dniem jej upadku, że każdy twój oddech, każde uderzenie tętna, jest krokiem naprzód dla ciebie, a krokiem wstecz dla niej.

\*

Bobo teraz przeprowadza badania swe planowo i z tym większym zapalem. Duchy pojedyncze już zna, stara się teraz ich wzajemny do siebie stosunek zrozumieć.

Przygląda się obiadowi rodziców.

Dobre duchy odprawiają dziwne nabożeństwo. Bobo wodzi za ruchem ich rąk, uzbrojonych w widelce i noże, śledzi je od talerza aż do ust uważnie i cierpliwie. I dziwi się dużym zdziwieniem.

Trzy zdziwienia ma bobo: najmniejsze, powieki szeroko otwarte i uśmiech w oczach. Zdziwienie większe, usta uchylone, bobo zastyga w zdumieniu i patrzy, patrzy. Zdziwienie najwyższe to szybki oddech, niespokojne ruchy rąk i lęk w spojrzeniu.

— Biedny bobaś, daj mu trochę zupy — mówi ojciec do żony. — Tak na nas patrzy.

I bobowi badaczowi chcą wlać gwałtem zupę kwaśną, słoną, paskudną. Odwraca głowę, pluje, krzywi się, ręką odpycha.

Bobo dawno już przestało wierzyć w nieomylność dobrych duchów i konieczność ulegania im, przeciwnie, coraz podejrzliwiej się przygląda, zawsze czujne, zawsze gotowe do protestu, zakłębieniem krzyku stara się kierować ich czynami.

Dobre duchy mają też swoje dziwactwa, należy bacznie obserwować każdy ich czyn, należy je wychowywać, by stały się zupełnie uległe bobowej woli.

Bobo ufało kiedyś dobrym cieniem i wiele razy z wyrzutem bolesnym spojrzęło na matkę, zanim nabrało przeświadczenia, że jej ufać bezwzględnie nie należy.

Jedynie duchy nieomylnie to ręce bobowe. Bobo dziś już rzadko, wyjątkowo tylko, nosi sobie ręką zadrapie, i to wówczas, gdy w gniewie na chwilę równowagę umysłu utraci.

Bobo teraz żąda: każdy przedmiot musi obejrzeć rękami i ssaniem.

Rodzice mówią, że bobo się bawi.

Mały człowiek dziki zbyt poważną rozpoczął pracę, zbyt mało ma czasu, by trwonić go na zabawy, zbyt wiele otacza niebezpiecznych tajemnic, by lekkomyślnie igrać z nimi.

Starość, Dzieciństwo,  
Dziedzictwo

Dziedzictwo, Matka

Kiedy leży w kołysce, pozornie beczynnie, bada ręce, by się przekonać, czy nie mają jakichś ukrytych a ważnych właściwości, jaki jest ich wzajemny stosunek; rozmawia, mozolnie gimnastykuje struny głosowe, jak pianista przed ważnym koncertem odbywa długie i nużące próby.

Na przechadzce bada w skupieniu tłumy obojętnych ruchomych cieni, jest jak człowiek, który by odbywał podróż pierwszą między słońcami i planetami — nowe i piękne, ale jakże o rozrywkach myśleć, gdy wokoło tyle tajemniczych zagadnień.

Ulica z jej hałasem, ogród z zielenią, obce mieszkania i obce postacie, to lądy odległe, nieznane, zwiedzane w długich wieloletnich podróżach.

Bobo znużone zasypia i przez sen się niespokojnie porusza, bo widzi w sennym marzeniu ułamki obrazów, jak widziało je niedawno na jawie.

Zdobyło zaledwie kilka pewników, posiada wiele niesprawdzonych, przypuszczalnych prawd i tyle, tyle jeszcze zagadnień, które musi rozwiązać.

\*

Bobowi pokazują obrazki, patrzy i nie rozumie. Ale patrzy ciekawie, jak na wszystko, co istnieje, a więc trzeba znać, dociec czym i do czego służy. Chce obrazki pochwycić i do ust włożyć.

Bobo wyciąga ręce i śmieje się do dzieci. Są to duchy dobre, służące dla nieznanych celów.

Bobo postawiono przy lustrze. Spojrzało na matkę, zdziwiło się swym najwyższym zdziwieniem i ukryło twarz na jej ramieniu, chroniąc się przed niebezpieczeństwem. Bobo rozumuje: z chwilą gdy nie widzi niebezpieczeństwa, przestaje ono istnieć.

Bobo znów w lustro spojrzało, ciekawość badacza przemogła obawę. I tu matka popełniła błąd: zabrała bobo. A przecież bobo długo musi patrzeć i myśleć, zanim coś zrozumie.

Bobo długo bawi się kolorowym jajkiem z drzewa i umie już je przekładać z jednej ręki do drugiej.

Teraz już nie ma potrzeby robić po stokroć to samo odkrycie, bo raz dokonane pamięta.

Bobo bada mowę dobrych duchów; kiedy matka raz gniewnie przemówiła do boba, zdziwiło się najwyższym zdziwieniem:

— To ważne, bardzo ważne, bardzo tajemnicze.

Niezadługo zamiast nużącego zaklęcia krzyku i zawodnego zaklęcia wyciągniętych rąk, zdobędzie bobo zaklęcie pierwszego wyrazu.

Niezadługo zrozumie, że między ruchomą piłką a dobrym duchem matką jest różnica życia...

Dobre duchy już dawno przestały być dlań cieniami na jasnym tle.

\*

Matka ukazała się za szklaną szybą drzwi. Bobo wyciąga do niej ręce i uderza o szybę. Znów tajemnica?

Cała kunsztownie i z takim wysiłkiem wzniesiona teoria o dobrych duchach i ich właściwościach nagle rozpadła się w gruzy.

Bobo zalało się łzami.

— *Ignorabimus*<sup>17</sup>. Nie będziemy wiedzieli.

\*

Kąpiąc się, bobo zrobiło odkrycie: prócz rąk posiada nogi — dwa odległe lądy.

A może kołdra, poduszka, łóżko całe też są bobem, znów poszukiwania mozolne, rewizja gruntowna zdobytych prawd, lekkomyślnie wysnutych przypuszczeń.

<sup>17</sup>*ignorabimus* (łac.) — i os. lm cz.przysz., nie będziemy wiedzieli, tu w znaczeniu: nie uda nam się dowiedzieć. [przypis edytorski]

— *Ignorabimus. Ignorabimus.*

\*

Bobo stoi o własnych siłach.  
Tryumfuje...  
Bobo, bobo, z jaką przerażającą ufnością idziesz naprzeciw życiu...

## FERALNY TYDZIEŃ

*(Z życia szkolnego)*

Węglarz zrobił zawód.

Tatusz bardzo się gniewał, że mama wszystko odkłada na ostatnią chwilę. Mama powiedziała, że jak tatuś nie wie, żeby nie mówić, bo węgle były zamówione już w czwartek. Tatusz powiedział; że w mieście, chwała Panu Bogu, niejeden jest tylko węglarz. Mama powiedziała, że wie o tym lepiej od tatusia, tylko że ten właśnie daje dobrą wagę. Tatusz powiedział, że mu groszowe oszczędności mamy stoją kością w gardle. Mama bardzo się obraziła. Niech tatuś sam gospodarstwo prowadzi; tatuś jest człowiek bezwzględny; mama miałaby też wiele do powiedzenia. A tatuś powiedział: — Już się zaczyna stara śpiewka — i wyszedł.

Rodzina

Działo się to w niedzielę, a w poniedziałek rano w mieszkaniu było zimno jak w psiar-  
ni.

Stasia już dwa razy budzili, raz mama, a drugi raz Ludwika. Stasio udaje, że śpi. Pod koldrą ciepło, a w pokoju zimno i ciemno, na ulicy zimno i błotno, a w szkole...

— Pani kazała się spytać, czy Stasio wstał... Niech Stasio wstaje, bo późno... Stasio się spóźni do szkoły.

Ludwika pociąga za koldrę.

— Zaraz.

— Zaraz to zaraz. Proszę wstać.

— Niech Ludwika sobie idzie.

Ach, jak on nienawidzi tej wstrętnej kuchary, która do wszystkiego się wtrąca.

— Dobrze, powiem pani. Niech sobie Stasio leży. — Stasio nienawidzi Ludwiki. Nienawidzi za to, że musi wstać, za to, że dziś poniedziałek, a w tygodniu nie ma święta, za to, że nauczyciel odda dziś dyktando, w którym Stasio zrobił dwa grube błędy, o których wie; a wreszcie za to, że dziś jest pierwsza geografia, z której go pewnie wyrwie, bo tylko sześciu zostało, którzy odpowiadali po razie.

— No co, wstaje? — rozlega się głos mamy ze stołowego pokoju.

Stasio siada w łóżku i pod koldrą zaczyna się ubierać leniwie.

— Acha — mówi Ludwika z tryumfującym uśmiechem.

— Jak Ludwika nie pójdzie, to ja się nie będę ubierał.

— Ojoj, jaki to skromniutki — żeby się kto nie dowiedział.

„Żebyś zdechła” — myśli Stasio w najwyższej pasji.

\*

Szary, posępny, gnuśny, poniedziałkowy ranek.

Kondycja ludzka

Szary, posępny i gnuśny jak żywot tej stokroćmilionowej rzeszy, czołgającej się w poszukiwaniu strawy i przyodziewka — w kółko od niedzieli do niedzieli, w kółko leniwie i bezmyślnie, w kółko, bez szczerego uśmiechu, bez barwnego dążenia, bez mocnego oddechu płaskiej piersi, bez leśnego „hop-hop”, które by pochwyciło i niosło w zieleni echo donośne.

Niedziela dała nudę i rozczarowanie, poniedziałkowy ranek zwiastuje sześć długich mętnych dni, zanim nadejdzie nowa niedziela z jej nudą i zniechęceniem. — Eh panowie, panowie — miliony dziatwy szkolnej wrzęgliście do swego kieratu, i kręcą się biedne dzieciśka w kółko od niedzieli do niedzieli, i tępiją po latach udręki i milczącego bezsilnego protestu.

Idzie Stasiek z tornistrem na plecach i troską w sercu, stara się robić duże kroki, aby każdy krok odpowiadał jednej płycie trotuaru, uderza ręką w blaszane szyldy mijanych sklepów.

— Dzień dobry.

Podają sobie obojętnie ręce.

— Wiesz, byłem wczoraj w cyrku.

Wiśnicki zawsze się musi wszystkim chwalić.

— Wielkie rzeczy — pewnie na południowym.

I Stasio zbacza na stronę, aby wejść w kałużę.

Wiśnicki milknie, niemile dotknięty.

— Właśnie że byłem na wieczornym. A wreszcie to wszystko jedno.

— Jutro a nie dziś wszystko jedno. Po południu przedstawienia są dla dzieci.

— Właśnie, że nie, tylko że wolno wziąć jedno dziecko za darmo, a reszta wszystko to samo.

— Ale lwów po południu nie dają.

— A właśnie, że i lwów dawali.

— I wchodził do klatki?

— A wchodził.

— Jak kogo kochasz?

— Jak ojca kocham — i patrzy Stasiowi prosto w oczy.

— No to się złapałeś, bo byłeś po południu.

— Wcale się nie złapałem.

— A skąd wiesz, że wchodził do klatki?

— Skąd wiem, to wiem.

Idą obok siebie gniewni i milczący.

— Dzień dobry.

Czerwińskiego Stasio też nie lubi, bo kowal i głupi.

— Wiecie: w tej dykcie<sup>18</sup> nie zrobiłem ani jednego błędu.

— A jak napisałeś „poślednieje”?<sup>19</sup> — pyta Wiśnicki.

— Fi, także mi sztuka.

Jest to właśnie jeden z dwóch grubych błędów Stasia.

Stasio odłącza się od nich, idzie brzegiem rynsztoka — na samym brzuszku, rozstawił ręce i utrzymuje równowagę. — Spogląda z ukosa na kolegów i myśli z niechęcią:

— Szczeniaki.

\*

— Na miejsce. Dostyc.

Teraz kolej na Stasia.

Stasio szybko chowa zegarek. Trzy minuty do dzwonka.

Jeszcze zostało tylko dwóch, którzy odpowiadali po razie, a z siedmiu wyrwanych dzisiaj, aż cztery dwójki.

Ostatni wydawał<sup>20</sup> na M; na N nie ma nikogo, na O — jeden, a potem P. Jednym szybkim rzutem myśli obejmuje groźną sytuację. „Prędeży, dzwonek, prędeży” — krzyczy myśl jego w strasznym, dzieciom tylko i obłąkanym znanym, przerażeniu. — „Boże, zmiłuj się”.

Nauczyciel postawił stopień, naprzód<sup>21</sup> w notesie, potem w dzienniku; przebiega wzrokiem listę, przewraca stronę notesu — Stasio jest tam na samej górze.

— Prechner.

Westchnął głęboko. „Boże miłosierny, dzięki Ci”. Serce jego kołujące jeszcze niespokojnie po doznanych wstrząśnieniu, przyklekło w kornej modlitwie.

Więc w sobotę będzie wydawał: nauczy się na pięć — przez całą dużą pauzę będzie powtarzał.

<sup>18</sup>dykta (daw. pot.) — tu: dyktando. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>poślednieje (ros. *последнее*) — ostatnie. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>wydawać lekcję (daw.) — odpowiadać, recytować przed kimś zadany materiał lekcyjny. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>naprzód — najpierw. [przypis edytorski]

A Prechner powoli poprawia bluzę, bardzo powoli zamyka książkę, chrząka.

— Do tablicy — niecierpliwi się nauczyciel.

Wolno wysuwa się z ławki. I dzwonek. Nasamprzód jedno uderzenie ciche, przytłumione; to stróż bierze dzwonek do ręki; a potem cała fala głośnych, jędrnych, zbawczych uderzeń dzwonka.

Nauczyciel skinął ręką, odłożył pióro, zamknął dziennik i wyszedł.

Klasa huczy dziesiątkiem głosów. Stasio przyłącza się do grupy, gdzie Prechner opowiada, że nie miał książki w ręce, że nie odpowiedziałby ani słowa. Widać, że się nie chwali tylko, że naprawdę nie umiał. I nic dziwnego: odpowiadał już trzy razy. Nauczyciel chciał go złapać — to jasne.

Pierwsza pauza trwa krótko.

Na religii sąsiad daje Stasiowi obiecaną książkę. Stasio przegląda spis rozdziałów, trzymając książkę pod ławką, potem zrazu jakby niechcący, a potem uważniej przebiega treść pierwszego rozdziału; wreszcie kładzie książkę na ławkę, przykrywa do połowy religią, ciekawe.

— Co czytasz? — pyta kolega z tylnej ławki.

Stasio spogląda z niepokojem na księdza.

— Nie twoja rzecz; pilnuj swego nosa.

Godzina przemija szybko.

W serce Stasia wkrada się niepokój. Już posłowie donieśli, że Szparag przyniósł kajety<sup>22</sup>, już dyżurny woła, żeby siadać na miejsca, już pedel<sup>23</sup> dwa razy uderzał kluczem w szybę oszklonych drzwi, aby uciszyć klasę. Uderzenia kluczem w szybę nauczył się od inspektora: małpuje.

Lekcja się zaczyna.

— Kogo nie ma w klasie?

Szparag przepisuje stopnie z notesu do dziennika. Uczniowie pierwszej ławki unoszą się, aby z ruchów pióra odgadnąć, ile kto dostał z dyktanda, pokazują na palcach.

— Dyżurny!

Obaj wyskakują po kajety: jeden żyd, drugi katolik; Szparag żydowi kajetów nie daje; boć to bądź co bądź czynność odpowiedzialna.

— O, mój kajet — dawaj.

— Poczekaj — po kolei.

— Przemyski.

— Dawaj.

Stasio nie ma odwagi spojrzeć. Przewraca kartkę po kartce: dwa, trzy, trzy, dwa, trzy, dwa, trzy, trzy — a teraz?

Rumieńce wystąpiły mu na policzki. Serce bije tak mocno, jak na geografii. Na pierwszej stronie dwa małe błędy, raz podkreślone, trzeci — podkreślony falistą linią — i jeden z owych dwóch grubych błędów. Nie ma co patrzeć: dwójka.

— Ile?

— Odczep się.

Stasio przymyka oczy, przewraca kartkę i nakrywa bibułą. Bibułę odsuwa powoli. — Nie ma czerwonego atramentu, nie ma, nie ma, może choć z dwoma minusami? I oto fatalne zdanie. Sen czy jawa? Nie ma. Stasio gotów jest krzyknąć z radości: błąd jest — siedzi bestia — ale go Szparag nie zauważył. Śmiałym ruchem odkrywa stopień: trójka z minusem. Gdyby zauważył, byłaby dwójka. I Stasio doznaje bardzo złożonego uczucia: wdzięczności dla Szparaga, że nie zauważył błędu, i gniewu, że mu za jeden gruby błąd i dwa małe postawił tylko trójkę z minusem: przecież mógł czystą postawić.

— Widzisz? — pokazuje sąsiadowi.

Sąsiad powitał odkrycie życzliwym uśmiechem.

— A ty ile?

— Trzy plus.

Zaczęli porównywać błędy.

— Ciszej — upomina nauczyciel.

<sup>22</sup>kajet (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>pedel (daw.) — woźny. [przypis edytorski]

I zaczyna się poprawianie dyktanda, dziesiątki prawideł, powtarzanych dziesiątki, mało — setki razy. Stasio patrzy na trójkę z minusem i nie myśli o niczym: jego system nerwowy wyczerpał się do dna. Siedzi bezmyślnie i nawet się nie cieszy.

— Przemyski!

Stasio wstaje.

— Dlaczego? — pyta nauczyciel.

Stasio patrzy błagalnie na kolegów.

— *Priewoschodnaja stiepień*<sup>24</sup> — brzęczą ze wszystkich stron klasy.

— *Priewoschodnaja stiepień* — powtarza Stasio.

— Co *priewoschodnaja stiepień*? — pyta nauczyciel, biorąc za pióro.

— *Jat*<sup>25</sup> — podpowiada klasa zbyt głośno.

— *Jat'* — powtarza Stasio.

— Trzeba uważać — mówi nauczyciel.

Uczeń z pierwszej ławki pokazuje mu na plecach dwa palce. Stasio sam przecież widzi: stoi i widzi, jak nauczyciel odszukuje jego kratkę w dzienniku i stawia powoli, i z rozmysłem wyraźną dwójkę.

Piorun z jasnego nieba...

\*

Józio niecierpliwie oczekuje Stasia — sam mu drzwi otworzył i nie pozwalając zdjąć tornistra, zawołał:

— Chodź, to ci coś pokażę.

— Poczekaj, tylko zdejmę kalosze.

— No prędzej. Wiesz: w tym nowym sklepie dodają do każdego kajetu jedną ogromną pieczętkę albo sześć małych, i do wyboru. A do brulionu dodają łańcuszek.

— Jaki łańcuszek?

— Prawdziwy.

— Kłamiesz.

Józio jest bezgranicznie zadowolony, że udało mu się zainteresować starszego brata swoim wielkim odkryciem.

— O, widzisz: naklejka, bibuła, sześć pieczętek i stalka<sup>26</sup>.

— Ta stalka nic niewarta.

— No to co? A pieczętki ładne?

— Tak sobie.

Józio czuje żal do Stasia: sądził, że go olśni, oszołomi, a tymczasem... Nie wie biedak, że Stasio ma dwójkę z ruskiego.

— Na obiad. Ludwika, zawołaj dzieci.

Zosia wpada do pokoju. Spóźniła się: była w kuchni, a chciała wiedzieć, co Stasio powie, zobaczywszy bibułę, sześć pieczętek, naklejkę i stalkę dodane do jednego zwyczajnego kajetu.

— No co? — pyta zaciekawiona.

— Stasio, Józio, Zosia na obiad. Ile razy trzeba was wołać?

Mama jest w złym humorze. Ta idiotka Ludwika znów oddała klucz od góry, a przecież wiedziała doskonale, że w środę ma być pranie. Mamę to nic nie obchodzi: niech sobie na nosie wiesza bieliznę, kiedy taka mądra. Mama już z nią dłużej nie może wytrzymać. Do latania ma rozum, a do roboty — zupełnie cię — i w dodatku leniwe. Od pierwszego może sobie szukać miejsca. I tatuś znów się spóźnił, a później będzie się krzywił. Niech się krzywi: mamę to nic a nic nie obchodzi.

Zosia nasłuchiwała się tego wszystkiego w kuchni. Zły humor mamy i jej się udzielił.

— Stasiu, nie kop się.

Stasio trącił ją nogą niechęć. Ale kiedy tak, to już naumyślnie ją kopnie.

<sup>24</sup>*priewoschodnaja stiepień* (ros. *превосходная степень*) — stopień najwyższy przymiotnika. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Jat'* (ros. *Я́т', Ът', Ѓт'*) — litera starej cyrylicy, złała się całkowicie z e. Jej obecność w ortografii XX w. wynikała z wpływu języka staro-cerkiewno-słowiańskiego, który był językiem liturgicznym. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*stalka* (daw. pot.) — stalówka. [przypis edytorski]

— Mamo, Stasio się kopie.

— Wstydzilibyś się: taki stary chłop, a nie umie przy stole siedzieć.

I Stasiowi przychodzi do głowy, co by mama powiedziała, gdyby przy złym humorze wiedziała jeszcze o dwójce. Zamiast: „wstydzilibyś się”, byłoby: „Stasio, jak jeszcze raz ją ruszysz, to pójdziesz precz od stołu”. I to jakim głosem!

\*

Taka otrzymana w poniedziałek dwójka podobna jest do wielkiej muchy naprzykrzonej i do kleksu<sup>27</sup> na bibule. Jak mucha, brzęczy ona, płacze się w każdej myśli, przy każdej sposobności, i jak kleks na bibule, rozlewa się i rozrasta, coraz większa i większa, rośnie przez cały tydzień. Gdyby to można od razu powiedzieć mamie: „dostałem dwójkę”, i już się pozbyć. Tak byłoby lepiej: a przecież Stasio tak nie robi. I w sobotę nic nie mówi, chowa dziennik, aby nie psuć sobie niedzieli. „Nie dał dziennika, w poniedziałek odda”. Ale niedziela zepsuta i tak. Stasio już w niedzielę musi być spokojniejszy, już nie ośmieli się ani prosić o nic, ani uderzyć Józia albo Zosi; bo wie, że zawinił, i gdyby rodzice uważniej mu się przyjrzeni, toby mogli sami zauważyć, zamknie się w pokoju i niby się uczy, nie śmie czytać otwarcie pożyczonej książki.

Szkoła

Taka otrzymana w poniedziałek dwójka odbiera mu ochotę, odwagę, wiarę w siebie, chęć do pracy. Po co się uczyć, kiedy i tak ma już dwójkę, i nic go nie ocali od gniewu rodziców. Choćby mu się udało nawet dostać czwórkę, to dwójka zawsze ją zasłoni.

I Stasio wie dobrze, że jeśli w poniedziałek dostanie dwójkę, to nigdy się na jednej nie skończy; zawsze w takim tygodniu we wszystkim gorzej się wiedzie.

I kiedy we wtorek wyrwał go nauczyciel do tablicy, Stasio prawie był pewny, że dostanie dwójkę, z góry wiedział, że da mu właśnie takie zadanie, gdzie będzie dzielenie i mnożenie drobiej<sup>28</sup>, i że się pomyli.

Wczoraj korepetytor znów mu tłumaczył, że jeżeli cztery pomnożyć przez pół, to będzie dwa, a jeżeli rozdzielić, to osiem. Była chwila, kiedy naprężył uwagę i zdawało mu się, że zaczyna rozumieć. Ale przyszło mu na myśl, że w takim razie, zamiast tej całej płataniny, można zamiast dzielić — mnożyć i odwrotnie, i powiedział to korepetytorowi. Korepetytor zaczął krzyczeć, że arytmetykę mądrzejsi od niego ludzie wymyślili i że Stasio jest leni, że zamiast pomyśleć trochę, woli wynajdywać sposoby, żeby nie potrzeba było wcale myśleć, że arytmetyka jest głupstwo w porównaniu z algebrą, że jeżeli nie może zrozumieć głupiego mnożenia drobiej, to niech się lepiej pożegna z gimnazjum.

Stasio sam wie o tym. Raz podczas pauzy stanął we drzwiach piątej klasy i słuchał, jak jeden drugiemu objaśniał geometrię i rysował koła na tablicy. Stasio wrócił do swojej klasy i próbował narysować koło: wyszedł jakiś kulfon krzywy. I nic dziwnego: jak można bez kratek narysować równe koło i żeby było równiusieńkie, bo inaczej nic nie wyjdzie, a w kole trzeba narysować jeszcze z dziesięć rozmaitych linii i żeby wszystko dokładnie się schodziło. Stasio już wtedy zrozumiał, że nie skończy nigdy gimnazjum. Sam widok grubych książek, wypchanych tornistrów, odbierał mu całą odwagę. A egzamina<sup>29</sup>: w czwartej klasie z całych czterech klas: ile to samych wierszy tylko się nazbiera. A czy on pamięta choć jeden z tych wierszy, których się uczył przed dwoma laty?

Albo te drobi. Wczoraj była już chwila, kiedy zaczął rozumieć. I teraz, żeby mu dali się namyśleć, toby może zrobił. Bo jeżeli mu się zostało pięć siódmych pieniędzy i to było 35 rubli, to on wie, że musiał mieć więcej przedtem. Zaplątało go tylko, że chce dostać więcej i nagle ma dzielić. Sam korepetytor przestraszył go od razu tymi iksami. Iksów Stasio zupełnie nie rozumie.

Nie martwi go nawet ta dwójka. Do dzwonka zostało trzy kwadransy, może sobie przynajmniej spokojnie siedzieć, że go nie wyrwą. — Jedna czy dwie dwójki, wszystko jedno; tak czy tak, będzie mama krzyczała, a tatko będzie prawil morały:

— Ja pracuję ciężko, jesteś złym synem.

Wszystko mu jedno.

<sup>27</sup>kleksu — dziś popr.: kleksa. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>drobi, D lm drobiej (ros. *дробь, дроби*) — ułamek, ułameków. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>egzaminy (daw.) — egzaminy. [przypis edytorski]



Stankiewicz robi zadanie, pisze, wyciera, płacze się, chce się wykręcić od dwójki. Stasio przygląda mu się obojętnie, nawet z pewnym zaciekawieniem, nawet z pewnym zadowoleniem: już przeżył to, co tamten ma dopiero przed sobą.

\*

Godzina piąta. Muzyka.

Stasio nienawidzi muzyki. Geografii, drobiej i gramatyki uczą się wszyscy, których Stasio zna; bez tego nie można dostać promocji. Ale on jest nieszczęśliwszy od nich o całą muzykę.

Tatuś mówi, że muzyka to zawracanie głowy, a mama, że strata pieniędzy. A mimo to każą trzy razy na tydzień brzdąkać po godzinie z panią i codziennie samemu. A kiedy wieczorem uwolni się od lekcji, słyszy zaraz:

— Stasiu, idź grać.

Czasem Stasiowi żal nauczycielki: ona niewinna, że przychodzi, bo musi; a czasem na złość jej robi i pięć razy z rzędu bierze krzyżyk<sup>30</sup> po kasowniku<sup>31</sup>. Bo dlaczego się ciągle skarży na niego? A on ma przecież jeszcze gimnazjum!

I po co, kiedy mu wcale muzyka niepotrzebna?

Siedź i graj tu, jak masz dwie dwójki na ten tydzień, a jutro klasowe zadanie; wesoło, nie ma co mówić.

— Stasiu, uważaj.

— Ja uważam.

— Stasiu, dlaczego ty mnie tak męczysz?

Nauczycielka powiedziała to smutnym, łagodnym głosem. Stasio drgnął. Biedna. — Stasio z trudem powstrzymuje łzy.

— Teraz bez błędu zagrasz. No co — dobrze: bez błędu?

Stasio nie odpowiada.

I zagrał bez błędu.

\*

„Dopiero dwa dni przeszły” — myśli Stasio, leżąc w łóżku. — Dopiero dwa dni, a co on już przeżył w tym tygodniu. Jeszcze środa, czwartek, piątek, sobota. Co go jeszcze czeka? Jutro klasówka; jeżeli nie zrobi zadania, będzie to już dwójka na przyszły tydzień, po tygodniu z dwiema dwójkami będzie znów tydzień z dwójką.

Boże, jak ciężko, jak strasznie.

Stasio patrzy na lampę przed obrazem i wdycha.

Dlaczego Bóg, który jest Wszechmocny, nie pomoże mu w jego ciężkiej doli? Gdyby on, Stasio, był Bogiem... Ale grzech tak myśleć, a grzeszyć nie wolno w wilię<sup>32</sup> zadania. Gdyby tak móc wiedzieć, co będzie jutro, albo tylko, co będzie za godzinę. Można by tak łatwo być pierwszym uczniem. Stasio nie chce być pierwszym uczniem. Pierwszy uczeń zarozumiały i nikt go nie lubi. Ale chciałby mieć trójki, żeby móc się nie bać ciągle.

Zrobił dzisiaj pięć zadań z korepetytorem; żeby tak było jedno z tych właśnie. Byłaby już czwórka na przyszły tydzień — dzisiejsza dwójka byłaby pokryta.

Dwójki dzielą się na niebezpieczne i niebezpieczne. Idzie przecież o to, żeby na kwartał nie wypadła dwójka. Z ruskiego ma już cztery trójki i dwie dwójki. Więc go wyrwie jeszcze na poprawkę, nie jest znów taki straszny, tylko mu czasem fantazja do głowy przyjdzie. Z arytmetyki gorzej, ale też może się jeszcze poprawić.

Jacy szczęśliwi ci uczniowie, którzy dzienników wcale rodzicom nie pokazują — takich jest dwóch, o których Stasio wie. Nikt się nimi nie interesuje, nikt na nich nie krzyczy. Albo ci, którzy mieszkają na wsi i tylko na święta jeżdżą do domu. Rogalski jest drugoroczny, a ma własnego kuca w domu — i nic go nie obchodzi.

Tylko jemu, Stasiowi, zatruwają życie.

<sup>30</sup>krzyżyk — znak w zapisie nutowym, podwyższa wysokość dźwięku o pół tonu. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>kasownik (muz.) — znak w zapisie nutowym, anuluje działanie innych znaków (krzyżyka lub bemola). [przypis edytorski]

<sup>32</sup>wilia (daw.) — wigilia, dzień poprzedzający inny dzień. [przypis edytorski]

Taki żal czuje Stasio do tych wszystkich, którzy go dręczą.

Dlaczego, jak jemu się powiedzie, rodzice są dla niego dobrzy? Mama pozwala mu i czytać, i drażnić się z Józkiem, i rano tak nie krzyczy, żeby wstał, i do grania go nie pędzi, a tatuś bierze do cyrku albo dorożką. A jak mu się nieszczęści, to wszyscy zaraz na niego. Przecież on umie to samo; bo oprócz pierwszych pięciu albo sześciu uczniów, reszta wszyscy żyją tak jak on. Jak go wyrwą z tego, co umie, dostaje dobry stopień, albo jak nauczyciel jest w dobrym humorze, albo jak mu się uda ściągnąć, albo jakiś inny przypadek. Jeżeli na przykład jutro będzie jedno z tych zadań, które dziś robił z korepetytorem, to dostanie czwórkę; i czy to będzie jego zasługa? Akurat tak się trafi.

Stasio umówi się z Goldszternem tak, że jak się weźmie za prawe ucho, to trzeba pomnożyć, a jak za lewe, rozdzielić. Stasio już niby rozumie, ale się boi ryzykować, bo może w ostatniej chwili pomylić się z przestrawu i w pośpiechu.

Raz Stasio dostał czwórkę z geografii; umiał akurat do jednego miejsca, a dalej nic a nic. I kiedy powiedział wszystko, co umiał, nauczyciel posadził go na miejsce i postawił czwórkę, a tak to by dostał dwójkę za to samo.

Tak będzie najlepiej: za prawe ucho — pomnożyć, a za lewe — rozdzielić. A jeżeli prędko zrobi, to niby pójdzie z papierem do kosza i rzuci mu kartkę. Potem Stasio opuści niby pióro, nachyli się i podniesie kartkę. Chociaż to niebezpieczne.

Dziwak jest ten arytmetyk: czasem tak pilnuje, że się ruszyć nie pozwoli, a czasem nic nie uważa i można robić, co się chce. I każdy z nich — jak chce, to zawsze może postawić dwójkę — oprócz pierwszego ucznia. Są tacy w klasie, których lubią, to żeby nie wiem co, nie postawi mu dwójki. A o lizuchach i tych, których rodzice dają łapówki, nie ma co mówić. Pawełekiewicz także nie mógł zrobić zadania — odpowiadał już z dziesięć minut, jak był dzwonek. A on co: „no, na drugi raz jeszcze się spytam”. I nie postawił stopnia.

A gdyby to był Stasio...

Stasio wzdycha.

— Boże, wielki i dobry Boże, daj, żebym jutro zrobił zadanie. Bo chcę przynajmniej w przyszłym tygodniu już nie mieć dwójki. — A on przynosi kajety po tygodniu, w środę — objaśnia Stasio Bogu porządki szkolne.

Dziwny spokój ogarnia Stasia. Oczy mu się mrużą, myśli się płaczą, modlitwa miesza się z ostatnimi troskliwymi rozmyślaniami i Stasio zasypia, powtarzając:

— Prawe ucho — mnożenie, lewe — dzielenie.

\*

Stasio zatrzymał się przed nowym sklepem. — Jutro albo nawet dziś jeszcze, kupi nowy kajet i obejrzy łańcuszki, które dodają do brulionów. Może zamiast łańcuszka można dostać maszynkę do temperowania ołówków albo dopłacić i wziąć scyzoryk? Tak, dzisiaj kupi Stasio nowy kajet i dowie się o wszystkim dokładnie.

Rozgląda się po ulicy: idą jeszcze malcy; to znaczy, że wczesnie.

I nagle przypomina sobie klasowe zadanie na pierwszej lekcji. Trzeba się spieszyć — umówić, rozmówić, porozumieć z kolegami — wymaga to zawsze kilkunastu minut. — Zrobi, czy nie zrobi?

— Jeżeli spotkam tę dziewczynkę w żałobie, to będzie dobrze.

Dziewczynka w żałobie chodzi na pensję, spotyka ją prawie codziennie. — Stasio czuje dla niej wiele sympatii i współczucia, pewien szacunek i odrobinę zazdrości. Taka mała, pewnie z wstępnej klasy, i już w żałobie.

Raz Stasio, kiedy leżał w łóżku wieczorem, myślał sobie, że jest trochę starszy, na przykład w piątej klasie, że nie ma rodziców, a dziewczynka w żałobie jest sierotą i on ją wychowuje. Czytał gdzieś coś podobnego w książce dla młodzieży. — Gdyby się zwierzył któremuś z kolegów, to zaraz by powiedzieli, że się w niej kocha i nazywaliby ją jego facetką. Stasio nawet przyjacielowi nic nigdy nie mówi, bo potem się z nim pokłóci albo co, i ten wszystko wypaple, i potem się śmieją.

Prawdziwego przyjaciela Stasio nie ma.

„Jeżeli ją spotkam, to zrobię zadanie” — myśli, i pragnie ją spotkać, rozgląda się, idzie wolniej, coraz wolniej.

I ze złym przeczuciem przestąpił próg szkoły.

Już na schodach krzyknął mu tryumfująco kolega:

— Chodź prędej. Wiemy, które będzie zadanie.

W klasie nastrój świąteczny.

— Masz, przepisuj prędko.

Stasio wyrywa kartkę z brulionu.

— Prędej!

Z uderzeniem drugiego dzwonka robota skończona.

— A skąd wiecie, że to akurat zadanie będzie?

Rzecz w tym, że nauczyciel przerabiał z klasą zadania na cztery diejstwa<sup>33</sup> i zrobił wszystkie po kolei od trzysta siedemdziesiątego do czterysta piątego, tylko jedno zadanie przepuścił. Naturalnie, że to jedno właśnie zostawił na dzisiejszą klasówkę.

Każda klasa i każdy uczeń z osobna skłonni są myśleć, że nauczyciel nimi się tylko zajmuje.

Nauczyciel o tym tylko myśli, jakby ich podejść, oszukać, złapać, zaszkodzić. Uczniowie nie pozostają mu dłużni. Klasa i nauczyciel to dwa nieprzyjacielskie obozy, walczące na śmierć i życie. — Jeżeli umiesz lekcję i chcesz wydawać, to kryj się, patrz często na zegarek, udawaj przestraszonego; jeżeli nie umiesz, udawaj, że chcesz odpowiadać, a na pewno nie wyrwie.

Ale trzeba umieć to robić tak, aby się udawało. Stasio nie umie...

Arytmetyk wszedł do klasy. Chwila niemego oczekiwania. Czterdzieści serc drży w niepewności. Nauczyciel odnotował nieobecnych, rozgląda się, widzi rozłożone kalety, uroczyste twarze dzieci i mówi niby od niechcenia:

— Ach tak: klasowe zadanie.

Rozejrzał się po katedrze. Dyżurny uniósł się, aby na pierwsze skinienie podać zadacznik<sup>34</sup>. Ale o zgrozo, nauczyciel wyjmując z kieszeni od kamizelki jakiś kawałek papieru, coś napisał, zanotował i począł dyktować zadanie z głowy.

Oszukał. Wszystko było z góry uplanowane, jeszcze na wiele dni przed klasówką. Naumyślnie wtedy przepuścił jedno zadanie. Że tak jest właśnie, nikt ani na chwilę nie wątpi, Stasio pisze jak we śnie. Zapomniał poprosić Goldszterna, aby się pociągnął za ucho, dziewczynki w żałobie nie spotkał — zgubiony bezpowrotnie...

Zadanie trudne, a może i nie trudne, tylko klasa, zawiedziona w nadziejach, składa pokornie oręż. Pogrom zamiast oczekiwanego zwycięstwa, upadek zamiast tryumfu. Stasio widzi wokoło twarze zafrasowane. Prócz trzech czy czterech nieustraszonych reszta gryzie bezradnie pióra, marszczy brwi, szepcze trwożnie.

— Nie rozmawiać!

Stasio nie ma odwagi nawet przeczytać zadania, nie może zebrać rozpiechłych myśli, ponad którymi góruje jedna: „Oszukał”.

W klasie powietrze staje się ciężkie od wyziewów wilgotnego obuwia. Minuty wloką się z miazdzącą powolnością.

— Zostało dwadzieścia minut — mówi nauczyciel.

Niektórzy wodzą suchymi piórami, byle nie zwracać na siebie uwagi nauczyciela, w nadziei, że w ostatniej chwili uda im się od kogoś przepisać; inni kreślą bezładnie, coraz przekreślając i zaczynając na nowo coraz śpieszniej i bezkrytyczniej; jeszcze inni tworzą jakieś fantastyczne kombinacje, z dziwnym uporem rzucają szeregi cyfr, nie zwracając uwagi na widoczne błędy — byle dojść do ostatniego działania.

Stasio nie należy do żadnej z tych trzech grup. Zrobił trzy działania, przy czwartym wypadło mu, że wódz stracił w drugiej bitwie siedemnaście i pięć dziewiątych żołnierza, więc przekreślił ostatnie działanie i czekał. Patrzy na nieruchome pióro sąsiada i mroczną twarz Goldszterna, i już z zupełną rezygnacją oczekuje dzwonka.

— No dosyć będzie już!

Niektórzy ociągają się jeszcze z podaniem kajetu. Stasio przykłada bibułę, choć stronica wyschła już dawno.

Trzech zrobiło zadanie, dwóch ściągnęło do połowy. Stasio postanawia powiedzieć w domu, że nie rozwiązał zadania, aby z góry uprzedzić o dwójce w przyszłym tygodniu.

<sup>33</sup>diejstwo (ros. *деѳцтво*) — sposób. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>zadacznik — zbiór zadań, od *zadaczki* (ros.), czyli zadania. [przypis edytorski]

\*

— Nasz Stasio, proszę pana, nie zrobił zadania.

Korepetytor ma minę zakłopotaną. Stasio strasznie nie lubi, jak mama robi uwagi korepetytorowi. Bo co on winien?

— Tylko trzech zrobiło — wtrąca nieśmiało.

— Ty zawsze zapatrujesz się na nieuków i leniów — mówi mama. — Jeżeli trzech zrobiło, to ty mogłeś być czwartym, który zrobił.

— Jak było takie trudne — zaczyna Stasio, ale przypomina sobie dwie dwójki i milknie.

— Myśmy, proszę pani, przerabiali wczoraj zadania — mówi korepetytor, skubiąc górną wargę.

— Wczoraj to za mało, trzeba co dzień robić z nim zadania.

I mama wychodzi zagniewana.

Chwila przykrego milczenia.

— I cóż to było za zadanie? — pyta korepetytor.

Stasio nie pamięta. Niektórzy uczniowie zaraz na pauzie zaczęli się klócić, kto dobrze zrobił i jak trzeba było robić, przerabiali je na tablicy, przepisywali na kartkach. I co im z tego mogło przyjść, kiedy i tak wszystko przepadło?

„Czy starego Indianina złapali i zabili, czy też udało mu się uciec?” — Stasio przed przyjściem korepetytora czytał. — Żeby to mama wiedziała!

— Jak to, godzinę siedziałeś nad zadaniem i nic nie pamiętasz?

„Żeby on się już wyniósł” — myśli Stasio i przypomina sobie, że to dziś środa i zaraz przyjdzie Niemka.

— Daj zadacznik.

— Jutro nie ma arytmetyki — broni się Stasio.

— Nie pytam się ciebie. Dawaj zadacznik.

I Stasio poczuł nagły przypływ zawziętego gniewu.

— Niech mi pan wytłumaczy, kiedy się mnoży i kiedy dzieli; tylko bez iksów.

I po upływie kilku minut rozumie wszystko, rozwiązuje szybko cztery zadania, przypomina sobie dzisiejszą klasówkę i ku własnemu zdumieniu przekonywa się, że była łatwa.

— I nie lepiej to było wczoraj uważać? — pyta z wyrzutem nauczyciel.

Stasio sam wie, że lepiej; ale dlaczego tylko trzech zrobiło?

Po lekcji bierze dziennik i zapisuje zadane lekcje na cały tydzień.

Czwartek: Niemiecki. Tłumaczenie § 23. Kaligrafia — w klasie. Ruski. Opowiadanie § 49. Religia § 58. Śpiewy. W klasie. — I czego tu się uczyć?

Chciał dziś nie czytać, tylko się uczyć; kiedy nie ma czego. — I wyjął swego Indianina z szuflady.

Na niemieckim był nieznośny. Nauczycielka chciała już iść na skargę. — Boże, co by to było!...

\*

Uczniowie klas wyższych zadają sobie pytanie, skąd w gimnazjum wiedzą zawsze, kiedy ma przybyć na rewizję: inspektor szkół, pomocnik kuratora lub sam kurator.

A jednak wiedzą.

Niezwykły wygląd przybiera wówczas szkoła.

Dyżurni w niższych klasach otrzymują dyktaturę. Nie daj Boże, aby dyżurny poskarżył się, że ktoś nie chce podnieść papierka, narysował coś na tablicy lub w ogóle szumi. Pedlowie z odświętnymi minami chodzą po korytarzach: coś w rodzaju wzmocnionej ochrony — w powietrzu atmosfera napięcia — jakby w oczekiwaniu ataku czy obłączenia, czy sądów wojennych.

Malcy cieszą się powściągliwie: dla nich to różnorodność w nieznośnie nudnym, jednostajnym życiu, coś pośredniego między galówką<sup>35</sup> a przeprowadzką. Dwa wrogie obozy, uczniowie i nauczyciele klas wyższych, łączą się na czas pewien dla zwalczania wspólnego,

<sup>35</sup>galówka (pot.) — impreza galowa. [przypis edytorski]

silniejszego wroga. Cała szkoła żyje teraz jedną myślą, jednym uczuciem, które streszcza się w wyrazie:

— Władza!

Nawet ci, którzy mogliby się nie wzruszać, doznają pewnego dreszczyku: a nuż... a nuż nielaska, co wtedy?

— Czy u wszystkich są halstuki<sup>36</sup>? Czy wszyscy mają paski? Kto jest bez guzika? — Jeżeli kto ma jaką postronną książkę, niech odda. — Kto umie lekcję? — Powtórzyc chronologię!

Stuk kół o bruk uliczny. — Jedzie, nie jedzie, jedzie. — Nie. — Głowy zwracają się ku oknu.

— Uważać, nie rozglądać się — upomina nauczyciel głosem nad wyraz łagodnym.

— Jest. Teraz już jest.

Teraz pewnie woźny, przybrany w nową liberię z błyszczącymi guzami, stary Mikołajewski weteran, otwiera mu drzwi. Teraz pewnie dyrektor go spotyka — podaje mu rękę. Szmer.

Idzie przez korytarz. Wszedł do piątej klasy.

Nauczyciel kaligrafii poprzesał uczniów.

Dlaczego to zrobił, sam z trudnością umiałby odpowiedzieć. Na pierwszych ławkach posadził tych, którzy mieli nowe bluzy i czyste kołnierzyki. Uległ ogólnemu prądowi, niech i tu nawet będzie wszystko wzorowo.

I Stasio okazał się na pierwszej ławce.

Idzie. Był w piątej klasie na rosyjskim, w ósmej na historii, w trzeciej na arytmetyce, teraz wszedł do klasy Stasia podczas kaligrafii.

— Kaligrafia?

Odpowiedzią był niski ukłon.

— Siadajcie — zwrócił się do chłopców. — Nie przeszkadzajcie sobie. — Nauczycielowi podał rękę.

„Jezu, co orderów” — pomyślał Stasio.

— Raaz, dwa — raaaz, dwa — liczy pierwszy uczeń, a klasa w takt pisze.

— Okna otwieracie podczas paury?

Kurator od tego pytania zaczyna wizytację każdej klasy — w myśl zasady: *mens sana in corpore sano*<sup>37</sup>.

— Raaaz, dwaaa — liczy, może zbyt głośno, pierwszy uczeń.

Postanowione było, aby liczył pierwszy albo drugi uczeń.

Kurator nachylił się nad kajetem Stasia.

— Wstań — rozkazał nauczyciel.

Stasio wstał.

— Źle trzymasz pióro. Pióro tak należy trzymać przy pisaniu. — Pan powinien zwracać *surową* uwagę na to, aby uczniowie prawidłowo trzymali pióra.

Miała to być ostatnia uwaga, po której dygnitarz chciał opuścić gmach szkolny, aby na pierwszą zdążyć do domu na śniadanie.

— Ja właśnie dlatego sadzam go na pierwszej ławce, że źle trzyma pióro — powiedział kaligraf.

Było to tylko pokorne usprawiedliwienie, władza wzięła to za zuchwalstwo. Odpowiedź można było uważać za: „pracuję sumiennie nad powierzoną mej pieczy działwą”, zarówno jak i: „wiem, jak należy trzymać pióro i bez pańskich uwag”. Słuchać i nie rozumować — zasadzie tej nauczyciel się sprzeniewierzył i otrzymał zasłużoną karę.

Kurator lekko się zarumienił i wskazując palcem na drugą i trzecią ławkę, powiedział twardo.

— Ci nie siedzą na pierwszej ławce, a palce *obrzydliwie* trzymają.

I spojrzawszy na zegarek, wyszedł bez pożegnania.

„Surową — obrzydliwie” — „*strogoje*<sup>38</sup> — *oturatitielno*<sup>39</sup>”. — Stasio czuł zwisającą nad jego głową burzę.

<sup>36</sup>halstuk, właśc. *halsztuk* — krawat wiązany wysoko pod brodą. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*mens sana in corpore sano* (łac. przysł.) — w zdrowym ciele zdrowy duch. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*strogi*, M. r.n. *strogoje* (ros. *строгий, строгое*) — surowy, rygorystyczny. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*oturatitielno* (ros. *отуратительно*) — obrzydliwie, wstrętnie. [przypis edytorski]

Stuk kół wskazał, że władza odjechała.

— Osioł — huknął nauczyciel. — Bałwan! I jeszcze pcha się na pierwszą ławkę!

— Pan sam mnie posadził — mówi Stasio.

— Milczeć! — Na ostatniej ławce będziesz siedział na moich lekcjach. — Popamiętasz ty mnie. Marsz! — Łapy wam poobijam — zwrócił się już do całej klasy. — Bydło!

Stasio wziął kajet i pióro i poszedł na ostatnią ławkę.

Stasio, jak i cała klasa, pogardzają nauczycielem kaligrafii. — Daje tylko do trzeciej klasy, zostawić na drugi rok nie może; ale owo: „popamiętasz ty mnie”... A jak powie dyrektorowi, co wtedy? A nauczyciel w kratce — Przemyski — postawił cztery grube pałki: z przedmiotu, uwagi, pilności i sprawowania.

Koledzy patrzą na Stasia ze współczuciem: to, co jego spotkało, mogło spotkać każdego z nich. — Biedny Przemyski. — Podczas pauzy będą o nim mówili w *uczcielskiej*<sup>40</sup> — całe gimnazjum, wszyscy się dowiedzą — i będą się mścili.

„Co za straszny, straszny, straszny tydzień” — myśli Stasio.

— Pójdziemy razem, dobrze? — proponuje Kowalski.

— Wszystko mi jedno — odpowiada Stasio.

Kowalski nie czuje się urażonym szorstką odpowiedzią Stasia. Wie, że Przemyski go lubi, ale jest zły, bo ma zmartwienie.

— Daj, zapnę ci raniec<sup>41</sup> — mówi łagodnie.

Stasia rozbraja jego dobroć. Wychodzą razem na ulicę. Kowalski będzie go pocieszał i Stasio się rozerwie, zapomni. Co to ważnego: kaligrafia?

Przyczepił się do nich Malinowski. Dali mu odprawę, ale Malinowski nie ma ambicji i czepia się ich natrętnie.

— Idź sobie.

— Zabronisz mi chodzić po ulicy?

Zwalniają kroku — Malinowski toż samo.

— Dobrze, łaź za nami. — Ogon! — Pies. Chodź tu, na, na!

Malinowski wie, że w ten sposób chcą go się pozbyć, więc postanawia rozzłościć ich jeszcze bardziej.

— Przejdźmy na drugą stronę — proponuje Kowalski.

— Poczekajcie: ja jutro dyżurny, to się wam odplacę — krzyczy w ślad Malinowski.

— Dobrze, odplac!

Chwilę idą w milczeniu. Jakby tu zacząć, aby nie urazić przyjaciela?

— Słuchaj, Przemyski, przecież on ci nic nie może zrobić, czego ty się go boisz?

— Nie boję się wcale, tylko się będzie ciągle przyczepiał.

— A ja ci mówię, że za tydzień o wszystkim zapomni.

— A jakże, zapomni, jak ja będę siedział na ostatniej ławce.

— Toteż nie siadaj. Jak ci co powie, to mu powiesz, że jesteś *blizoruki*<sup>42</sup> — i już.

— A on pewnie już naszcekał na mnie.

— A ja ci mówię, że nie. On sam się boi dyrka.

— Więc po co mi cztery pałki postawił?

— Toteż go poproś, żeby przekreślił.

Stasio nie odpowiada. Bo oto naprzeciw idzie dziewczynka w żałobie. Zawsze chodzi po tamtej stronie ulicy, a dzisiaj po tej akurat. Opowiada coś koleżance i śmieją się. Może jej tylko babka umarła, bo inaczej jakżeby ona mogła się śmiać? Spojrzy na Stasia czy nie spojrzy? Spojrzała. Potem coś powiedziała koleżance, pewnie o Stasiu, bo obejrzały się i zaczęły się śmiać. Może poznała, że płakał? Choć on właściwie nie płakał, tylko lzy miał w oczach, a od tego oczy nie puchną.

— Co? — pyta Stasio.

— Poproś go, żeby przekreślił.

— Ja tam nie będę prosił.

— Co ci to szkodzi?

— Bo nie chcę. — Patrz jaka to świnią. Sam przecież mnie posadził, jemu powiedział, że naumyślnie, a potem wrzeszczy. — Jakbym go prosił.

<sup>40</sup>*uczcielskiej* (ros. *учительской*) — pokój nauczycielski. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*raniec* (daw. reg.) — prostokątna torba na książki, tornister. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*blizoruki* (ros. *близорукий*) — krótkowidz. [przypis edytorski]

Stasio uspakaja się pod wpływem rozmowy.  
 — Czy ta duża gwiazda, co miał przy orderach, to także order? — pyta kolegi.  
 — Chyba, że order.  
 — Czy jak on przychodzi do gimnazjum, to musi być w orderach?  
 — Eee, chyba nie — tylko tak, żeby się pochwalić.  
 — A może musi?  
 — A kto jemu może kazać?  
 Prawda; kto jemu może kazać — jemu, którego boi się nawet dyrektor?  
 — Dlaczego on wszedł do nas sam, a nie z dyrektorem?  
 — Dyrek chciał z nim iść, ale on nie chciał.  
 — Bo dyrek miał lekcję akurat w piątej klasie.  
 — A skąd wiesz?  
 — W szynelni<sup>43</sup> jeden uczeń mówił... A wiesz, że lepiej, że dyrka nie było?  
 — Pewnie, że lepiej. Jeszcze by co i jemu powiedział.  
 Żegnają się na rogu ulicy i rozchodzą.  
 Stasio wstępuje do nowego sklepu po kajet.  
 — Proszę mi pokazać te łańcuszki, co się dodaje do brulionu.  
 — O, proszę pana. Prawda, że ładny? Niech pan pociągnie, jak pan tylko chce; nie urwie się — taki mocny.  
 Stasio nie lubi, jak mu mówią: pan — bo mu się zdaje, że się z niego śmieją.  
 Bierze kajet i wychodzi.  
 I po co mu właściwie łańcuszek? Przecież nie będzie nosił zegarka na dwóch łańcuszkach...

\*

Mama włożyła nową suknię, którą mamie krawcowa zepsuła, i były dwie poprawki. Krawcowa była w dodatku niegrzeczna. Mama nie będzie do niej więcej dawała ani jej nikomu rekomendować nie będzie.

Mama wybiera się z tatusiem na koncert, na który już nie było biletów, i tatuś ledwo dwa bilety dostał od przekupnia. Ciocia chciała, żeby i dla niej kupić, ale nie było. Ciocia ma dziką pretensję, a tatuś nie ma obowiązku kupować dla całego świata.

Ludwika ma pilnować, żeby Stasio grał na fortepianie i żeby dzieci o dziesiątej najpóźniej poszły spać. Jak nauczycielka muzyki powie, że Stasio znów nowej sztuczki nie umiał, to mama się z nim na serio rozprawi. — Dzieci mają nie hałasować i nie rysować podłogi; lampa żeby nie filowała<sup>44</sup>, Stasio żeby się nie drażnił z Józkiem, a Zosia jak ruszy co z toalety, to dostanie w skórę. — Nikomu nie otwierać nawet przez łańcuch, a Ludwika żeby się na krok nie ważyła ruszyć z mieszkania. — Czy Stasio umie lekcje?

Mama i tatuś wychodzą na cały wieczór — jest to wielkie święto dla dzieci. Nikt im nie przeszkadza w zabawie, czasem i Ludwika bierze udział w grze lub bajki opowiada. Józio i Zosia słuchają bajek z przejęciem, z namaszczeniem, a Stasio niby obojętnie, ale i on lubi słuchać. Najglówniejsze to, że są sami i mogą robić, co chcą.

Mama włożyła rękawiczki, a tatusia nie ma. Dzieci kończą kolację. Zosia wbiła widelec w skórę od chleba i wyciera talerz z resztek masła i okruchów kotleta.

— Patrz, szczotkę zrobiłam z chleba.

„Oślica” — myśli Stasio.

Józio także zrobił szczotkę z widelca i chleba.

— Już po mnie małpujesz — mówi Zosia.

Mama i dzieci niecierpliwą się.

„Żeby już sobie poszli” — myśli Stasio.

Zgrzyt klucza. Tatuś przyszedł.

— Tylko nikomu nie otwierać. Lampa żeby nie filowała. Ludwika niech nie wychodzi. Bądźcie grzeczni.

<sup>43</sup>szynelnia — szatnia; od słowa *szynel* (rosyjski wełniany płaszcz mundurowy). [przypis edytorski]

<sup>44</sup>filować — kopcić. [przypis edytorski]

Dzieci zostały same. Nie wiedzą, czemu, ale dziś mniej się jakoś cieszą niż zwykle. Stasio jeden wie tylko, ale nie powie. Dzisiejsza awantura z kaligraferem i dwie dwójki. Niezrobionego zadania Stasio nie liczy, powiedział już mamie, że nie zrobił.

Józio przerysowuje obrazek z „Przyjaciela”, Stasio czyta kradzieże w kurierku<sup>45</sup> — to dobre na zwyczajny wieczór, ale nie, kiedy mamy nie ma. Zosia chce dać hasło do zabawy.

— Wiecie, że jak wejść do studni, to można w dzień widzieć gwiazdy.

— A jakże — zauważa ironicznie Józio.

— Nie: a jakże, bo pani mówiła.

— Twoja pani tyle wie, co zje.

— Żebyś ty wiedział tyle, co pani.

— Wszystkie baby nic nie wiedzą — mówi Józio, któremu udzielił się smutny nastrój Stasia.

— A mamusia także jest baba, to mamusia także nic nie wie. — Dobrze... dobrze...

Rozmowa się nie klei; Zosia się nie zraża.

— A jak patrzeć na błyskawicę, to się oślepnie.

— To ci także mówiła pani? — pyta Stasio, który już skończył drobne wiadomości w kurierku.

— Nie, to ja sama wiedziałam.

Do pokoju wchodzi Ludwika.

— Stasiu, pani powiedziała, żeby Stasio grał... Niech Stasio rzuci kuriera, bo tam nic mądrego nie ma dla Stasia.

— Jak Ludwika nie umie czytać, to Ludwika nie wie, czy mądre, czy głupie.

— Nie umiem, bo mnie nie uczyli — mówi Ludwika.

I Stasio żałuje, że jej tak powiedział. — Ludwika opowiadała im raz, kiedy mamy nie było, jak ją biła macocha, jak ją potem chciała wydać za mąż za starego, jak ona z domu uciekła i Stasio dał sobie słowo, że będzie dla niej dobry; nawet ją zaczął uczyć liter. Ale po co z nim zaczyna zawsze?

I teraz chciał powiedzieć, żeby usiadła, to jej przeczyta zbrodnię na Woli, potem Ludwika opowiedziałaby także zbrodnię i tak by się zaczął wieczór przyjemny. Ale dwie dwójki, kurator.

— Niech Stasio odda kuriera.

— Niech Ludwika puści, bo podrę.

— To niech Stasio puści.

— To dobrze: ja się ze Stasiem bić nie będę.

Ludwika ma myśl ukrytą: chce, żeby każde z dzieci coś zbroiło, żeby je potem zobowiązać do milczenia; a sama chce się wymknąć na pół godzinki do pralni, gdzie wieczorem bywa tak wesoło.

— A Zosia niech nic nie rusza.

— A właśnie, że ruszę.

— A ja mówię, że nie ruszysz.

Zosia wchodzi odważnie do ciemnej sypialni i wynosi flakon z wodą kolońską.

— No, o tym to już pani będzie wiedziała.

— No niech wie.

Józio jest złote dziecko. Teraz jest spokojna. Żadne z dzieci nie piśnie ani słówka. Może sobie wyjść swobodnie na godzinę.

Stasio odłożył gazetę, oparł się i patrzy na Józia:

„Maminsynek” — myśli o nim z zazdrością. — „Brata się powinno kochać. Czy ja go kocham?”

— Może zagramy w co? — decyduje się wreszcie Zosia. Józio patrzy pytająco na Stasia.

Stasio wyjmuje z szafy tom Słowackiego, bo Sienkiewicza mama dawno już pod klucz zamknęła. Stasio nie lubi wierszy. — *Ojciec zadżumionych*<sup>46</sup> — może to ciekawe.

Zosia patrzy na zegar. Już przeszło pół godziny — i nic.

— Powiem mamie, żeś wyjął książkę.

<sup>45</sup>kurier — gazeta codzienna. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*Ojciec zadżumionych* — poemat Juliusza Słowackiego. [przypis edytorski]



— A ja powiem mamie, że ruszałaś perfumy.

Józio kładzie się na kanapie.

Stasio czyta — czyta z wzrastającym zainteresowaniem.

I nagle przychodzi mu do głowy myśl dziwna: ten ojciec zadżumionych podobny jest do Stasia. — I na ojca zadżumionych, i na Stasia spada cały szereg nieszczęść, których końca nie widać. — Jeszcze się feralny tydzień nie skończył, jeszcze dwa dni. Kto wie, co dalej będzie? Może go wyrzucą albo co? — Tamtemu dzieci umierały, a on dostał dwójkę po dwójce. — I za co to, za co? Co złego zrobił ten ojciec, że mu umierały tak dzieci? — Biedny! — Stasio ma łzy w oczach. Józio siedzi na krześle i patrzy w światło lampy. Zosia patrzy gniewnie na Stasia: przez niego cały wieczór zepsuty — jakieś muchy ma w nosie dzisiaj — wykapany tatuś...

Nie ma nikogo z dorosłych, a w mieszkaniu tak cicho. Czemu dziś tak smutno, chociaż nie ma mamy?

Oto krzywda się dzieje już nie Stasiowi tylko, ale Józiowi i Zosi także. Oto sen mroczny śni historia, że zły duch, zła siła legła u wrót izby szkolnej — zła, bo nie znosi śmiechu dzieci — zła, bo gdy taki wesoly i beztroski śmiech dzieci usłyszy, to jej krwią nabiegają oczy, leniwie głowę ku drzwiom zwróci — i warknie, i śmiech płoszy.

Biedne, bezradne — gdzieś modlitwa za wasze szczęście płowe, gdzie pomoc? Zdziwione oczy wasze smutne. Może jawi się cud — rycerz o stu głowach, o stu po sto rąk czarnych w guzach i garbach, i bliznach od ciężkich narzędzi pracy — i dla wszystkich, i dla was lepsze jutro kupi.

Mroczny sen śni historia.

Zło, Krzywda

\*

— Poczekaj, dam ja ci za wczorajsze — odgraża się Malinowski.

Malinowski jest dzisiaj dyżurnym. Stasio przypomina sobie wczorajszą kłótnię i niepokój wkrada mu się w serce. Malinowski i tak jest świnią i lizuch, a teraz jeszcze...

Po drugim dzwonku ktoś gwizdnął.

— Przemyski, dlaczego gwizdziesz? — ryczy na cały głos Malinowski, wiedząc, że pedel chodzi po korytarzu.

— Kłamiesz: to nie ja gwizdnę — broni się Stasio, choć wie, że jeśli dyżurny powie pedlowi, to na pewno uwierzy dyżurnemu. Stasio czuje swoje położenie bez wyjścia i bezsilny gniew w nim wzbiera.

W klasie ktoś gwizdnął po raz drugi.

— Znowu Przemyski? — wrzeszczy Malinowski i zapisuje Stasia na kartce.

Ale pedel nie słyszał; Stasio jest ocalony. Stasio pokaże temu świntuchowi, że go się nie boi.

— Masz, zapisuj sobie — i gwizdnął sam teraz.

I w progu ukazał się inspektor.

— Kto gwizdał?

— Przemyski — i podaje kartkę.

— Zostaniesz na dwie godziny po lekcjach.

Inspektor bierze kartkę od Malinowskiego i wchodzi do piątej klasy na lekcję.

— Po co ci było z nim zaczynać?

— Pilnuj swojego nosa.

A to się wiedzie temu Przemyskiemu — no! Stasio ma godzinę do namysłu. Inspektor zapisze do sztrafnego<sup>47</sup> dopiero na dużej pauzie. — Prosić, czy nie prosić?

— Idź poproś — namawiają koledzy. — Powiedz, że cała klasa widziała.

— Niech no ja będę dyżurnym — mówi jeden — to Malinowski dostanie za ciebie.

— Świnią, lizuch — bydlę.

Stasio czeka przed drzwiami piątej klasy, inspektor nigdy zaraz po dzwonku nie wychodzi, tylko dopiero w pięć minut. Obok Stasia wszyscy jego stronnicy w pogotowiu — to świadkowie; trochę z dała — reszta klasy.

— Co to znów za zbiegowisko? — pyta, wychodząc inspektor.

<sup>47</sup>sztrafny — osoba wymierzająca karę (daw. sztraf). [przypis edytorski]

— No idź — pchają go koledzy.

— Proszę pana... — zaczyna Stasio.

Powie mu wszystko, od samiutkiego początku, wszystko, jak na spowiedzi, wszystko od poniedziałku. Przebaczy mu, musi mu przebaczyć — musi mu przebaczyć.

— Rozejść się! — Kartkę Malinowskiego inspektor trzyma w ręce.

— Proszę pana... ja...

Inspektor nie słyszy — idzie przez korytarz. Na wschodach<sup>48</sup> tłum ich rozdziela. Stasio przedziera się z jakimś dzikim uporem. Powie mu wszystko od samiutkiego początku, wszystko mu powie, od samego poniedziałku powie. — Przebaczy, na pewno przebaczy — nie napisze do sztrafego. Na progu *ucznielskiej* zastępuje drogę.

— Proszę pana...

— Wiem, wiem...

— Proszę pana...

— Już nie będziesz więcej — prawda?

— Już nie będę.

— Jak nie będziesz, to bardzo dobrze, a dziś posiedzisz dwie godziny. Zrozumiałeś?

I znikł.

— No co?

— Idźcie do diabła!

Stasio wraca do klasy i wybucha gwałtownym płaczem.

— Przemyski, wyjdź z klasy — woła z daleka Malinowski.

Stasio nie odpowiada. Malinowski nie śmie drugi raz powtórzyć rozkazu.

Do klasy wchodzi klasowy gospodarz: czy wszyscy wyszli, czy okna otwarte?

— A ty co? Aaa, Przemyski. — Źle, źle: wczoraj trzy palki, dziś koza<sup>49</sup>.

I za tych kilka obojętnych słów Stasio jest mu tak wdzięczny, jak za najwyższe dobrodziejstwo; nie ma już do niego żalu za poniedziałkową dwójkę. Pozwolił mu zostać w klasie, nie skrzyczał, nie wypędził.

\*

Niemiec, stawiając Stasiowi stopień, pokiwał smutnie głową, cmoknął ustami, spojrzął na jego zapłakane oczy i postawił mu czwórkę z plusem — Stasio tylko na trójkę zasłużył — i to może z minusem.

— Cztery dostałeś.

— Dobrze.

Stasia nic już nie pocieszy — i tak wszystko stracone.

Szkoła się wyludniła. Tak głucho, pusto, strasznie. Tyle ławek, na ścianach mapy i Stasio sam. A tam za oknem, na ulicy, wszystko po dawnemu, jak gdyby się nic nie stało. Ludzie sobie chodzą jak gdyby nigdy nic. Tramwaj jedzie, chłopiec kurierki sprzedaje, niańka idzie z dwojgiem dzieci. Pan z podniesionym kołnierzem, dwaj studenci, pani z dzieckiem. Jacy oni wszyscy szczęśliwi. Tylko on jeden — jedniusiński na całym świecie.

Inspektor teraz pewnie poszedł na obiad — i ani pomyśli o nim. Co go może Stasio obchodzić; kogo może Stasio obchodzić?

Jedno słowo: „przebaczam” albo: „pamiętaj, żeby to ostatni raz było” — i dlaczego nie powiedział?

Po co zaczynał z Malinowskim? — Prawda, że Malinowski przysiągł się na Boga, że mu nie daruje, ale przecież przysięga w złości się nie liczy — to chyba mały grzech. Ludwika jest bardzo nabożna, a ile razy przysięga się, że mamie powie, a potem nie mówi.

Ach, jak mu życie zbrzydło, jakby strasznie chciał umrzeć. Nie chorować, nie męczyć się, tylko tak od razu umrzeć.

Stasio opiera się na łokciu, patrzy nieruchomo w kąt klasy i myśli o tym, jakby on chciał umrzeć.

<sup>48</sup>*wschody* (daw.) — schody. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*koza* (daw.) — zarówno pomieszczenie w szkole, w którym zatrzymywano ucznia za karę, jak i kara polegająca na zatrzymaniu ucznia w szkole po lekcjach. [przypis edytorski]

Na przykład ta mała w żałobie wpada pod konie. Stasio rzuca się, żeby ją uratować. Chwyta konia za uzdę, koń staje dęba, ale Stasio uzdy nie puszcza. Wtedy koń rzuca się w bok i uderza głową Stasia o latarnię, a potem dobija go kopytem. Niosą trupa do gimnazjum. Piszą o nim we wszystkich gazetach, nazywają go młodym bohaterem. Na pogrzebie jest całe gimnazjum: i dyrektor, i inspektor, i wszyscy uczniowie — mama, i tatuś, i ta, której uratował życie.

Ale Stasiowi żal młodego życia.

Nie, koń go nie zabija, tylko ciężko go rani. Stasio choruje bardzo długo, aż prawie do Bożego Narodzenia. Na dwa dni przed świętami przychodzi do szkoły błądy z zawiązaną głową, żeby go mogli wyrwać jeszcze na poprawkę. I na drugi kwartał nie ma ani jednej dwójki, bo go łatwo słuchają. — Malinowski przychodzi go przeprosić i Stasio mu przebacza.

Boże Narodzenie — święta, choinka. Jakież to wszystko odległe. — Cztery tygodnie. — Kiedy się to skończy?

Co mama powie, jak zobaczy dziennik?

— Pójdiesz do szewca. Z tobą nie można postępować jak z człowiekiem. Jeżeli mi weźmiesz jaką książkę do czytania, to ci łapy poprzetrącam. Ucz się! — będzie świszczalo jak bat.

Wreszcie po paru dniach Stasio pójdzie przeproszać; odpowiedzą mu chłodno, opryskliwie:

— Dobrze, dobrze — zobaczymy.

A niezrobione zadanie, a jak w przyszłym tygodniu coś mu się nie powiedzie — to znów dwie dwójki.

Nie, tylko śmierć może go ocalić, nic więcej.

Stasio wrócił do domu głodny i wyczerpany bezcelową walką wewnętrzną, dwugodzinną gorączkową pracą myśli w samotności.

— Coraz lepiej Stasieczku: wczoraj zadanie, dziś koza.

— Nie wczoraj zadanie, tylko onegdaj.

Stasio chce, aby go mama zbiła: niech bije, niech wszyscy się nad nim znęcają aż do końca. Naumyślnie tak będzie odpowiadał.

— Zadanie onegdaj, no a koza także onegdaj?

— niesprawiedliwie mnie wsadził.

— Ja wiem: ty zawsze masz na wszystko sto wykrętów.

— Nie mam wykrętów. A jak mama nie wie, to niech mama nie mówi.

Stasio odłożył łyżkę, rzucił się na swoje łóżko i aż do przyścia korepetytora leżał i płakał. Nie był to już spazmatyczny płacz obrażonej dumy, gniewu bezsilnego i buntu, płacz, którym wzbudził współczucie klasowego gospodarza, tak że go na pauzie nie wyrzucił z klasy, był to teraz płacz poddania i poczucia wielkiej krzywdy, gorzki płacz człowieka, który się zawiódł nawet na najbliższych mu — na ostatnich już.

I matka zrozumiała — dobre myśli podsunęło jej tym razem serce:

— Może naprawdę niesprawiedliwie? Stasio przecież nie kłamie. Doktor powiedział, że Stasio jest anemiczny. Stasio nie tknął obiadu i śniadanie przyniósł z powrotem. Jeszcze się rozchoruje i gorzej będzie. Stasio nie siedział jeszcze w żadnej klasie dwa lata.

Po lekcji z korepetytorem Stasio zjadł obiad, nie miał lekcji z Niemką, a wieczorem dostał już w łóżku nadziewaną długą czekoladkę.

\*

Biedna mama, jaka ona dobra. Stasio odpowiadał niegrzecznie, a ona pozwoliła mu nie mieć lekcji z Niemką i dała mu nadziewaną czekoladkę. Biedna mama — mama także jest nieszczęśliwa, bo nic nie ma z życia: siedzi cały dzień w domu jak zakłeta, tatuś jest niewyrozumiały i bezwzględny, a jak mama kupi ładny materiał na suknię, to jej krawcowa spaskudzi.

A tatuś czy szczęśliwy? Także nie: męczy się, pracuje, teraz o grosz trudno, a jak się wybiera do teatru albo co, to mama mu robi scenę i zepsuje humor.

A Stasio zamiast się starać dobrze uczyć, zatruwa im chwile i wpędza do grobu.

Tak, tak. Wszystkiemu winien Stasio, bo jest leń, bo nie chce się uczyć.

Jutro sobota, jutro będzie na pewno wydawał z geografii; już w poniedziałek miał wydawać, a czy umie? Prawda, że może się nauczyć na dużej pauzie, bo zadano mało i łatwe, ale czy nie lepiej było dziś się nauczyć, a jutro powtórzyć tylko? Siedział dwie godziny w kozie; mógł nauczyć się pokazywać główne miasta w Azji, bo o to się pyta — a dlaczego tego nie zrobił, chociaż mapy wisiały na ścianie? Skorzystał z tej kozy i płaczu, żeby się tylko nie uczyć.

Ale teraz koniec: Stasio weźmie się do siebie.

— Jak Bożę najszczerzej kocham, będę się już uczył — postanawia Stasio.

Przysięgnie się, i to tak, że już będzie się musiał uczyć, bo inaczej popełniłby straszny grzech.

Kłęką więc w łóżku i ponawia uroczyste przysięgę:

— Jak Ciebie kocham, o Panie nasz i Ojcze, jak Ciebie kocham, przenajświętsza Trójco, od jutra będę się uczył, będę czytał tylko w niedzielę..., i jeżeli będzie już zupełnie mało lekcji — dodaje przezornie — i już powtórzę wszystko, czego nie umiem dobrze, a co potrzebne.

Stasiowi trochę się strasznie zrobiło, że tak za jednym zamachem spalił za sobą mosty, ale tym silniej wierzy w moc swojej przysięgi.

Co dzień po sześć stron geografii, po trzy paragrafy niemieckiego ze słówkami i to tak, żeby wiedzieć, co jest *der*, co *die* i co *das*<sup>50</sup>, po jednej części mowy i po dziesięć zadań.

Trzysta zadań w ciągu jednego miesiąca!

Stasio czuje się bogaczem — tylko jeden miesiąc wytrzymać. I wytrzyma — teraz już musi, bo się związał przysięgą.

Gdyby już było jutro, gdyby tak można teraz w nocy wstać z łóżka i zrobić pierwszych dziesięć zadań albo od razu dwadzieścia — na dwa dni z góry.

I Stasio tak cudnie, pogodnie, tak spokojnie zasypia. I nazajutrz tak szybko i rześko zrywa się z łóżka, o dziesięć minut wcześniej niż zwykle wychodzi z domu, tak wesoło upływają mu pierwsze trzy lekcje, tak bez troski bawi się podczas pauzy w berka.

Nawet na geografii nie boi się ani trochę.

Dziś robi z korepetytorem dziesięć zadań, pierwsze paragrafy niemieckiego są łatwe, *suszcztwitelnoje*<sup>51</sup> umie prawie na pamięć — na poniedziałek mało lekcji, wszystko to machnie w dwie godziny, a wieczór będzie miał swobodny.

To samo jutro, pojutrze.

Nawet dziennik go nie przeraża. Przyrzeknie uroczyste, że się poprawi, powie, że przysiągł, to mu mama musi uwierzyć.

Do dzwonka zostało pięć minut. Stasio składa książki, zapina tornister i już go nawet trochę wysunął z kasetki.

— Przemyski!

Stasio nie wierzy. Jak to? Od poniedziałku miał zacząć w szkole nowe życie, pełne zaszczytów i tryumfów — nowe i zupełnie niepodobne do dawnego — już... już za pięć minut miał się skończyć ten stary przekłety tydzień — już nawet książka schowana — i nagle...

— Przemyski.

Stasio nie pamięta głównego miasta w Tybecie. Na pewno każe mu mówić główne miasta w prowincjach chińskich. Stasio jest odurzony — zmartwiały.

— Główne miasto w Persji — rzuca nauczyciel, spoglądając za zegarek.

O Persji Stasio wie, ale potem zapyta go o Chiny, a on zapomniał, jak się nazywa to miasto, gdzie mieszka dalajlama<sup>52</sup>.

— Ja czekam — mówi nauczyciel.

I Stasio czeka. Owładnęło nim dziwne lenistwo myśli. Może dzwonek! I dlaczego go wyrwał?

— Teheran — podpowiada pierwsza ławka.

Zdrowy rozum nakazuje pleść byle co. Nauczyciel już nawet notes schował — i tak stopnia nie postawi.

<sup>50</sup>*der, die, das* — niem. rodzajniki określone r.m., r.ż. i r.n. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*suszcztwitelnoje* (ros. *сущестwительное*) — rzeczownik. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*dalajlama* — przedstawiciel jednej ze szkół buddyzmu tybetańskiego, według wiernych ma moc świadomego wybierania kolejnego wcielenia. Do 1950 r. kolejni dalajlamowie władali Tybetem. [przypis edytorski]

— Teheran — krzyczy cała klasa.  
— No? — pyta nauczyciel, udając, że nie słyszy podpowiadania.  
Stasio milczy.  
— Jakie jest główne miasto w Persji?  
— Teheran — ryczy już głośno klasa.  
Stasio wzrusza obojętnie ramionami. Nauczyciel leniwie wyciąga rękę po pióro.  
W mowie potocznej nazywa się to, że Stasio się uparł.

## SPOWIEDŹ MOTYLA

*1 kwiecień*

Widziałem znów Zosię. Kocham ją na nowo. Ta nieszczęśliwa miłość i śmierć Najdroższej Babcini uczyniły, że nie wiem, co się ze mną dzieje. Cierpię, ale nie bluźnię.

*2 kwiecień*

Wiktoria stawiała mi pasjans. Wyszło, że Zosia mnie kocha, lecz nie zostanie moją żoną, a ja będę nieszczęśliwy.

Teraz mam już zupełnie inne zamiary. Nauczę się mówić po hiszpańsku, po włosku *etc.*, i będę podróżował. Wiem, że to się 100 razy zmieni.

Wtorek i środę miałem okropne. Krzyż mnie strasznie bolał i mimo to cierpiałem moralnie: śmierć Babcini, nieszczęśliwa miłość trzecioklasisty... Lecz ja nie mogę długo rozpaczać. Śmiało podnoszę czoło, ażeby znów stanąć do walki.

Najlepiej, gdy jestem zajęty, ponieważ nie myślę o niczym prócz nauki. Może o niej (Z.) zapomnę, ale tymczasem kocham ją, nie mając najmniejszej nadziei osiąść. Za dwa lata ona będzie dorosłą panną, a ja (w najlepszym razie) piątoklasistą.

*12 maj*

Dawno nie pisałem.

Ach co się ze mną dzieje. Nie wiem, co to znaczy, czy to straszny sen.

Jak ja Ją kocham. Z każdą chwilą miłość moja rośnie. Co czuję, trudno wypowiedzieć, a napisać to już zupełnie niemożliwe.

Widziałem ją w Alejach. Ach, jaka była cudna. Łaziłem z początku z Wackiem i powiedziałem mu wszystko. Ach! jak teraz żałuję. Podły jęzor!

Zosiu moja! Ukłoniłem się z daleka, bo etykieta nie pozwala dojść, chociaż mogłem, bo się znamy. Zosiu droga! Z jaką rozkoszą przycisnąłbym Cię do mej zbolącej piersi. Czekam, co dalej będzie. Czy ja się dopiero teraz zapatruję na świat tak, jakim jest rzeczywistość?

Ciągłe zawody! Gdybym wiedział, że Ona mnie choć 1/100 część tak kocha, jak ja Ją. Ale nie zdaje mi się. Była zawsze tylko uprzejma, ale nie więcej.

Ach, jaki ja jestem głupi! Cóż to, chcę żeby mi okazała swą miłość. Wszak nie zdradziłem nawet przyjaźni ku niej bo jestem dobrze wychowany i wiem, czym jest cześć dziewczęca.

Cierpię!!!

*4 czerwiec*

Mało piszę, bo egzamina<sup>53</sup>.

Przed obiadem się uczę, a po obiedzie chodzę w Aleje.

Nie ma nadziei, żebyśmy razem wyjechali.

Bardzo się zawiodłem na dzienniku. Myślałem, że wszystkie myśli wyleję na papier, a tymczasem...

*30 czerwiec*

---

<sup>53</sup>egzamina — dziś raczej w M. lm: egzaminy. [przypis edytorski]

Już po egzaminach. Jestem uczniem czwartej klasy... czwartej klasy. Lecz cóż?... wszak przy niej jestem tym samym dzieciakiem. Gdy spojrzę w tę czarną przyszłość, to aż mnie strach bierze. Przypuśćmy, że mnie teraz kocha, lecz potem... Za dwa, trzy lata będzie dorosłą panną, a ja...

Albo zapomnę, albo przestanę istnieć dla siebie i oddam się ludzkości.

Albo się rozpiję!!!

*6 lipiec*

Rzadko i mało piszę, bo i cóż mam pisać? Cierpię i tęsknię tak samo.

„Dziś rok” — słowa te towarzyszą mi ciągle. Budzę się z nimi i z nimi zasypiam. Wiedziałem, że wakacje te będą dla mnie przykre, lecz nie przypuszczałem, że tak będę cierpiał. — Co ona robi? Czy myśli o mnie? Czy mnie kocha?

C-z-y k-o-c-h-a?

Podobno co 7 lat zmienia się cały organizm, sposób myślenia i wszystko. Co przyniosą mi owe 14 lat? Oczekuję z niecierpliwością, badam stan mojej duszy, aby się naocznie przekonać.

*9 lipiec*

Wczoraj po obiedzie byłem u p. Wandy! Powiedziałem, że się Kocham, mówiła, że to przemienie, radziła pisać regularnie dziennik, że przyjemnie go czytać po paru latach. Ona pisze dziewięć lat, opisała wszystkie podróże.

Dziś śniła mi się Zosia. Ach, co za rozkoszna noc.

(Uwaga późniejsza: Pamiętam ten sen. Objęła mnie szyję, jej ciemne włosy okryły moją twarz. Nie opisałem tego przed dwoma laty, bałem się, aby to nie było profanacją. Istota snu była namiętna, lecz namiętność była jeszcze tak czysta i dziewicza, jak myśli moje. To był sen na przełomie dzieciństwa i młodości).

*11 lipiec*

Wczoraj byliśmy na zabawie. Po linie chodził Paulo i dziewczę, pewnie Włoszka. Jestem tak zdenerwowany, że najmniejsza rzecz tak mnie irytuje, że już nie wiem. Tak mnie się jej żal zrobiło, że płakałem długo. Pewnie spadnie i zabije się albo będzie kaleką.

Z Helą pokłóciłem się tak, że jej nienawidzę, chociaż siostra. Wie o wszystkim, więc dlaczego nie daje mi pokoju? Prawie chciałem sobie życie odebrać, lecz imię Zofii mnie powstrzymało. Cierpię, cierpię, ale w skrytości, bo to ubliża memu męskiemu charakterowi. Może skargi przyniosłyby mi ulgę, lecz nie, ja chcę cierpieć w skrytości.

Nawet gdy się modlę, myślę o Niej.

*25 lipiec*

Wczoraj byliśmy u nich. Zdawało mi się, że to sen albo marzenie. Tak jestem przyzwyczajony do przyjemnych marzeń, że mi się wydawało, że to jest obrazowe marzenie. Na pożegnanie podała mi rękę, uściśnięłem ją (rękę) i byłbym z chęcią przycisnął do ust. Lecz to uściśnienie z mej strony było szersze od tysiąca pocałunków, a to: „do widzenia Pani” dźwięczało jak skarga. Zdaje mi się, że gdy powiedział: „do widzenia Pani”, głos mój zadrżał.

Gdy pomyślę, że już nigdy nie będziemy tak rozmawiali, serce pęka mi z bólu. Te spacerowe wieczorami przy świetle księżycy — nigdy się to nie wróci! Nigdy!!!

Mama mnie dziś pytała, jakem się bawił. „Tak sobie” — odpowiedziałem. O ironio losu!...

*8 sierpień*

Zaprzyjaźniłem się z Frankiem W. To dziwne: mamy jednakowe zapatrywania się na rzeczy, jednakowe chęci i zamiary. Będę zbierał zbiory mineral. i mam zamiar urządzić zielnik.

Zosia wydaje mi się teraz czymś niedostępnym, urojonym. Chciałbym być poetą, literatem, śpiewakiem *etc.*

9 sierpień

Wczoraj z wujem Pawłem byliśmy w Wilanowie. W krótkości opiszę to uczucie, które mną owładnęło na widok królewskiej siedziby. Droga do Wilanowa przez pola jest bardzo przyjemna, lecz nie ma w niej nic godnego uwagi.

Wjazd do Wilanowa jest to ogromna brama wykuta z piaskowca. Dalej idzie kościół, a na dziedzińcu, otacz. kościół jest VIII ołtarzy. Park nie stracił nic na piękności. Cały Wilanów dziwnie jakos poważnie nastraja. Zdaje się, że wszędzie przechadzają się duchy potężnych królów naszych. Przystąpmy do opisania wnętrza pałacu. Wszystko dziwnie jakos zimne. Każdy sprzęt zdaje się przypominać lata dawne, minione, piękne lata potęgi i chwały.

Nie chce mi się pisać...

Koniec I kajetu.

26 sierpień

Rzadko teraz pisuję, bo nie mam co. W zeszłym roku och co ja bym napisał, ale w tym. Czytałem listy Sienkiewicza z Ameryki. Szczęśliwy. Gdy patrzę lub myślę o podróżnikach, tak im zazdroszczę. Być przyrodnikiem, podróżnikiem i poetą — ileż uczuć mieści się w tych słowach, jak harmonijnie brzmią dla mego ucha. Przyroda — ta największa tajemnica i zagadka — ma niewysłowiony urok. — Badać naturę, być pożytecznym ludziom, przynosić chlubę rodakom — oto szczytny cel życia. Tak żyć albo nie żyć wcale.

14 listopad

Nie pisałem tak długo nie dlatego, że nie miałem tematu, lecz że każdą wolną chwilę poświęcam stowarzyszeniu naturalistów-amatorów, które założyliśmy z Frankiem. Dzięki Frankowi została rozbudzona śpiąca iskra miłości dla przyrody. Cóż to za rozkosz obcować z przyrodą. Teraz już wiem, czym będę — będę przyrodnikiem.

W ostatnich dopiero czasach rozbudził się we mnie duch dążności do wyższej idei, piękniejszych pociągów. Mam 14 lat. Stałem się człowiekiem — wiem, myślę. Tak jest: *cogito, ergo sum*<sup>54</sup>.

Ach jak ciężkie było życie genialnych ludzi; ludzi którzy byli niezrozumiani; ludzi, którzy wiek swój rozumem wyprzedzili. Czuję, że jestem natchniony przez Opatrzność do zrobienia czegoś wielkiego, nieśmiertelnego. Jeżeli śmierć nie przetnie pasma mych dni, będę sławny. Będę!?!

Ludzie mnie nie rozumieją. Jedna, jedyna dusza na świecie zrozumiałaby mnie, a choćby nie rozumiała, toby przynajmniej wysłuchała. Nie mam nikogo. — Dziwnym by się to każdemu wydawało. Mam rodziców, siostry, znajomych. O! nie, ja potrzebuję człowieka, z którym bym mógł porozmawiać, wynurzyć się. Zosia zdaje mi się, zrozumiałaby mnie. Dlaczego tak myślę, nie wiem. Lecz mimo woli serce me drga silniej na myśl o niej. Myśli często się przenoszą ku niej... ku jej osobie... Kocham ją...

Nie mówię teraz o niczym poważniejszym z nikim. Zdania te mniej więcej krążą około: wydawałem z łaciny, proszę o kawałek chleba itp.

1 stycznia

I znów o rok przybliżyliśmy się do grobu. Znów przeszedł rok, a jego zastępca zasiadł na tronie i zaciekawia swą tajemn. Co nowego przyniesie — zapytuje każdy. Czy będzie lepszy od swego poprzednika? Lecz on nie odpowiada, a swym wymownym milczeniem zdaje się mówić: zobaczycie.

<sup>54</sup>*cogito, ergo sum* (łac.) — myślę, więc jestem! (maksyma Kartezjusza). [przypis edytorski]

Będę pisywał teraz krótko, ale codziennie.

*Poniedziałek 2 styczeń*

O 9-ej wstałem. Rozmowa o *camera obscura*<sup>55</sup> Nauka. Obiad. Gra w fortecę. *Pamiętnik chłopca Amicisa*<sup>56</sup>.

*3 styczeń*

„Pam. chl.” inaczej teraz rozumiem. Pożyczyłem rocznik: *Romans i powieść*<sup>57</sup>. Śliczne nowele. — Sankami na miasto. Była p. Maria i Ciocia.

*4 styczeń*

Czytałem. Za dziesięć dni szkoła. Po obiedzie posiedzenie przyr.-amat. Czytaliśmy Flammariona<sup>58</sup> o światach zamieszkałych.

*14 styczeń*

Pierwszy dzień sztuby. Mama leży, doktor powiedział, że nic groźnego. Wydawałem z franc. i dostałem 4.

*15 styczeń*

Chciałem zamienić naszą ławkę na ławkę Tomcz., bo nasza wysoka i niewygodna. Na to wszedł inspektor i zostawił nas w kozie. Pedagog! Osio!

Wydawałem z greka, ale był dzwonek i nic nie postawił.

*16 styczeń*

Sierg. jest chory. Zamiast niego był dyrek, uczniowie b. źle odpowiadali. Było franc. opowiadanie: *Cresus et Solon* — ściągnąłem z kartki. Mam katar i ból głowy.

*17 styczeń*

Dziś posiedzenie odbyło się u mnie. Stefan czytał o różnicy między człowiekiem i małpą. Był pan Wiktor, zdaje mi się, że się kocha w Heli. Potem byłem u R. Janka dała mi parę arkuszy listowego papieru z widokami Krakowa i obiecała, że mi przywiezie brelok z trupią czaszką, o którym od 2 lat marzę.

*18 styczeń*

Dziś w szkole nic nadzwycz. nie wypadło. Z fr. ściągniętego opow. dostałem 4x. Wicczorem był p. Dol., już oddał swe miejsce Moskałom. Mówi, że gdy przyszedł do domu, to się wyplakał, co mu się od 20 lat nie zdarzyło. Pracował 23 lat na kolei, młodość tam w biurze stracił, a teraz ma taką nagrodę.

*19 styczeń*

---

<sup>55</sup>*camera obscura* — prototyp aparatu fotograficznego: światłoszczelna skrzynka z otworkiem, rzutująca obraz na jedną ze ścian. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*De Amicis, Edmondo* (1846–1908) — włoski pisarz, autor książek dla młodzieży. Polskie tłumaczenie książki: *Pamiętnik chłopca*: książka dla dzieci, przeł. z upoważ. aut. Marya z Siemiradzkich Obrąpalska, Kraków 1890. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*Romans i powieść* — rocznik wydawany w Warszawie w latach 1909–1927, pod red. Józefa Jankowskiego. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*Flammarion, Camille* (1842–1925) — fr. astronom. Po polsku jego książka o światach zamieszkałych ukazała się pod tytułem: *Wielość światów zamieszkiwanych: studjum w którym wykładają się warunki zamieszkalności ziem niebieskich, roztrząsane ze stanowiska astronomii, fizjologii i filozofii naturalnej przez Kamille Flammariona*, przeł. J. Waga, Warszawa 1868. [przypis edytorski]



Z ruskiego dostałem 4, z algebry 2. Do albumu zapisują mi się koledzy. Poz. sam się prosił, że chce się wpisać. „Zginęli Grecy, zginęli Rzymianie, lecz nasza przyjaźń na zawsze zostanie...” Taki luzus. Jak mi się wszyscy wpiszą, to jego kartkę wydrę.

20 styczeń

Z pieśni o wieszczym Oliegiew<sup>59</sup> dostałem 4, z łaciny 3 i z niemca 2. Br. się do mnie uprzedził. Pobitem się z Dąb., zdaje mu się, że jest drugim uczniem, to może się rządzić, bydlę takie. Wieczorem uczyłem się lekcji i czytałem „o kawał ziemi”.

W *extemporalu*<sup>60</sup> po „cum” napisałem *respondit*<sup>61</sup> zamiast *respondisset*<sup>62</sup>. Wściekły jestem.

21 styczeń

Przed obiadem pisałem odczyt o spirytyzmie i telepatii. Po obiedzie był Oleś i objaśnił mi drugi sposób robienia zadań z dwiema niewiadomymi. Była p. Chr., której syn skończył przyrodę i medycynę.

22 styczeń

Wydawałem z geometrii, postawił podobno 4. Z ext. dostałem 3, a Sz. który słowo w słowo ode mnie przepisał, dostał 4. Musiałem się ostrzyć, bo Rud. powiedział, że mnie do kozy wsadzi. Chciałbym jutro wydawać z historii, pewnie mnie wyrwie.

19 wrzesień

Od stycznia nie pisałem. Teraz rzucam tych kilka słów dla utrwalenia najcięższych chyba chwil, jakie przeznaczono mi przeżyć na ziemi. Może dobrze, że w młodości zaznam goryczy, nabiorę doświadczenia, tego niezbędnego steru dla każdego chcącego w tym tułaczym życiu przybić do spokojnego portu. — Miłość — czyż ona istnieje? Jest tylko egzaltacja albo zmysły. Po co kocham, nienawidzę, śmieję się, płaczę — wszystko mija, ginie — radość, wesele. Sława? Czcze, nędzne, marne słowo. A geniusz to obłąkany.

Cały wolny czas poświęcam literaturze. Czy pośród tysiąca dróg, których się czepiałem, odszukałem już tę moją.

O! głowa gorąca, oczy bolą, w głowie szum. Pójdę jutro na cmentarz, na grób babci poproszę Ją o opiekę. Ach, ile tam pogrzebanych nadziei.

26 listopad

Widziałem Zosię. Dawna miłość zamieniła się w szczerą przyjaźń i dziwną nieokreśloną tęsknotę po minionych czasach. Dziwnie mi czczo. Czy człowiek na to żyje tylko, aby kochać? Wiem, że póki kochałem, byłem szczęśliwy, choć miłość jest rozkosznie, cudnie pachnącą różą, a jednak kolce jej kłują aż do krwi.

„Szczęście to nadzieja i marzenia — nigdy rzeczywistość; im kto je wyżej postawił, tym mu lepiej, bo go nigdy nie osiągnie i wiecznie spinać się, marzyć i spodziewać będzie” — mówi Kraszewski w *Jasłce*. Ja moje szczęście, mój ideał może zbyt wysoko postawiłem, może dlatego szczęśliwym być nie mogę. Pamiętam, jak w czasie egzaminów myślałem, że w wakacje tak wiele uczynię, pamiętam, jak w przeddzień egzaminu rysowałem plany o *perpetuum mobile*.<sup>63</sup> Pamiętam, jakem dni całe trawił nad encyklopedią z 1763 roku

<sup>59</sup>pieśń o wieszczym Oliegiew — Pieśń o wieszczym Olegu Aleksandra Siergiejewicza Puszkina (1799–1837), rosyjskiego poety, dramaturga i prozaika, najwybitniejszego przedstawiciela romantyzmu rosyjskiego. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>extemporal (z łac.) — w pośpiechu; *extemporalis*: zrobiony lub powiedziany bez namysłu, nieprzygotowany. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>respondeo, respondere (łac.) — odpowiedzieć; *respondit* to czasownik w 3 os lp trybu oznajmującego. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>respondeo, respondere (łac.) — odpowiedzieć. *Respondisset* to czasownik w 3 os lp trybu warunkowego, którego wymagało zdanie złożone z „cum”. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>perpetuum mobile (łac.) — dosł. wiecznie się poruszające; hipotetyczne urządzenie, które raz wprowadzone w ruch funkcjonowałoby nieustannie. [przypis edytorski]

i nad zbieraniem przysłów. Sto razy ogarniał mną sceptycyzm, niewiara, to znów chęci reformatorskie i inne mrzonki dziecinne. Porzuciłem przyrodę, aby się uczyć francuskiego i tak długo szukałem podręcznika, że mi się i uczyć odechciało. Przestrasza mnie ten brak wytrwałości. Chcę się nauczyć pokonywać swe „ja”, piję herbatę bez cukru, odzwyczaiłem się od gryzienia paznokci i od kłamstwa. Zawsze po gorączkowej działalności następuje lenistwo. Chcę je zmóc, nie mam sił. Dziwne. Czy zawsze i ze wszystkim tak bywa. „Słabość bywa popędliwą i namiętną; siła jest pogodną i wyrozumiałą”.

Muszę być silny!

Kocham, płaczę, cierpię, boleję.  
Miotam się, burzę, buntuję, szaleję,  
Nie mając nadziei, jednak mam... nadzieję;

28 listopad

Tematy do wierszy:

1. Kocham cię nie dla blasku oczów<sup>64</sup> i hebanu włosów i uśmiechu, ale dla umysłu i serca.
2. Czemu płaczesz, dziecię?
3. Śmierć na szpitalnym łóżu.
4. Nemezys<sup>65</sup>.
5. Nostalgia.
6. Niewolnik ucieka i przesyty strzałą umiera z uśmiechem, bo na wolności.  
Odpowiedź na mój „Fragment”.  
„Drukowane nie będzie”.  
Ani słowa zachęty. Zranić serce poety to dla nich — zdeptać motyla.

Koniec kajetu 2-go.

Zdania franc.:

*rira bien qui rira le dernier*<sup>66</sup>  
*a la guerre comme á la guerre*<sup>67</sup>  
*les extrêmes se touchent*<sup>68</sup>  
*qui vivra verra*<sup>69</sup>  
*après moi le déluge*<sup>70</sup>  
*hony soit qui mái y pense*<sup>71</sup>  
*chevalier sans peur et reproche*<sup>72</sup>  
*c'est pour moi du Grec*<sup>73</sup>  
*entre amitié et amour il n'y a qu'un pied*<sup>74</sup>.

Okr. Piast I 965–1364. Okr. Jagiel. 1364–1522. Zygmunt (złoty) 1522–1621. (Jez. szk.)  
Makaron. IV (1621–1750).

1. Nie pożyczać pożycz. książek.

<sup>64</sup>oczów (daw.) — oczu. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>Nemezys, właśc. Nemezis (mit. gr.) — bogini zemsty, sprawiedliwości i przeznaczenia; uosobienie gniewu bogów, ale stojąca ponad i poza władzą bogów olimpijskich; córka Nocy (gr. Nyks), strażniczka sprawiedliwości świata, wykonawczyni nieuniknionych praw. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*rira bien qui rira le dernier* (fr.) — ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*a la guerre comme á la guerre* (fr.) — na wojnie jak to na wojnie. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*les extrêmes se touchent* (fr.) — przeciwieństwa się przyciągają. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*qui vivra verra* (fr.) — kto żyje, ten zobaczy (pożyjemy, zobaczymy). [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*après moi le déluge* (fr.) — po mnie już tylko potop. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*hony soit qui mái y pense* (fr.) — hańba temu, kto widzi w tym coś nieprzystojnego. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*chevalier sans peur et reproche* (fr.) — rycerz bez strachu i skazy. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*c'est pour moi du Grec* (fr.) — dla mnie to greka (w znaczeniu: nic z tego nie rozumiem). [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*entre amitié et amour il n'y a qu'un pied* (fr.) — między przyjaźnią a miłością jeden krok. [przypis edytorski]

2. Nie żądaj od nikogo przysług, a wyświadczywszy komu, nie oczekuj wdzięczności.
3. Pracuj, udoskonalaj się, a nieszczęść i smutków nie doznasz.
4. Gdy masz wydać niepotrzebnie pieniądze, schowaj go na książkę.
5. Szanuj niewiastę i włos siwy itd.

### 3 grudzień

*Sfinks* Kraszewskiego. Od *Ogniem i mieczem* nie pamiętam tak potężnego wrażenia. Niedawno jeszcze, nie rozumiejąc Cię Mistrzu, mówiłem, że piszesz nudnie. O jakież byłem głupi w chwili, gdym wygłaszał ten dziecinny, nieopatrzny, zuchwały, szalony pogląd. Kocham Cię, szanuję i wielbię. Sam jesteś Sfinksem, zagadką nierozwiązaną. Tyle umieć, tak wszystko znać — wszystko to pochłonął czarny grób.

Jaka znajomość duszy człowieka, gdy wierzy, nie wierzy i wraca znów do wiary. Mamy tu namiętną Włoszkę, kokietkę Francuzkę, Angielkę, wreszcie nabożną Polkę. Mamy zimnego dziwaka Anglika, Włochów, Żmudzina i Żyda. Mamy króla, jego ulubieńca, ludzi szlacheckich, nawet wariata. Jaki piękny obraz Warszawy z czasów Augustowskich, jaki wspaniały opis Rzymu. — O mistrzu, niech Cię Twój otacza mnie Swą Opieką.

Dziwny sen miałem 3–4 tygodnie temu; śniło mi się, że się unoszę i spadałem, aż wreszcie spadłem i pofrunąć już nie mogłem. Może to przepowiednia przyszłości?

### 16 grudzień

Jestem tak wyczerpany, że zadaję sobie gwałt, kreśląc te kilka słów. Jestem ociężały, znużony, gnuśniej — chyba nie ze starości. Nie mam chęci niczym się zająć, spałbym tylko ciągle.

Nie chcę żyć w prozie życia, jak inni, czy mi z tym dobrze? Sam nie wiem. Cel, do którego dążę, przyobleka się w coraz to nowe formy, a zawsze nieokreślone. Gdym chciał być przyrodnikiem, chciałem być i malarzem, i śpiewakiem, i wszystkim.

Nie mogę więcej pisać. Nie mam sił kompletnie ani się uczyć, ani czym zająć.

### Niedziela

Marzyłem, że posyłam *Nemezys* na konkurs i dostaję nagrodę, ale nazwisko jest zapieczętowane. Proszę rodziców, żeby wzięli bilety. Nie chcą, ale ustępują. Sam idę za kulisy. Kurtyna się podnosi. Wychodzi dyrektor, rozdziera kopertę i czyta moje nazwisko. Orkiestra gra. Po sali rozlega się szep: „co to za jeden?”. Rodzice płaczą z radości, przypominają sobie, że coś im mówiłem, lecz nie wierzyli. Pierwszy akt przechodzi bez wrażenia. Po drugim wołają autora, i oto na scenę wychodzi drżący ze wzruszenia młodzieniec. Szmer podziwu i niedowierzania, potem sala drży od oklasków. Po trzecim akcie deszcz kwiatów, a on nieśmiały z ręką na sercu, z wzrokiem utkwionym w stronę rodziców. I pada w objęcia rodziców upojony, rozmarzony, szczęśliwy.

Mam cały plan dwóch pierwszych aktów, boję się jednak rozpocząć pracę, aby złudzenie, wiara, chwilowa w talent nie znikły. Stacho zaczyna mnie nudzić. Myślałem, że on jest inny niż wszyscy, ale widzę, że to umysł śpiący, pojęcia w kolebce. Jak ja cierpię wskutek tej pogoni za niedoścignionym ideałem. Czy go osiągnę, czy się złamię i padnę pod ciosem losu?

### 10 styczeń

Kocham kogoś, nie wiem kogo. W sercu panuje taka straszna pustka.

O Droga! O Luba! O Miła! Kocham Cię, choć Ciebie nie znam. Wiem, że istniejesz, wiem, że serce Twe bije w takt mego serca.

Wiem, że nie znając, również mnie przeczuwasz. Lecz gdzież jesteś, czemu się ukrywasz. W którą stronę mam zwrócić swe kroki, aby się z Tobą spotkać. Gdzie jesteś, najdroższa?

O Boże: utrzyмай Ją przy życiu, daj Jej szczęście, jeśli mnie go dać nie chcesz.

Jakże mi tęskno, smutno! Życie widzę tak bezbarwnym, tak ciemnym, że jest mi ono ciężarem.

Miałem kilka błogich chwil, lecz gdzież się one rozpierchły? Tak mi smutno, tak pusto.

Niedawno jeszcze smutki osładzałem marzeniami, żyłem rojeniami. *Dziś boję się moich myśli i marzeń*, a życie bez marzeń — to śmierć.

15 stycznia

Miałem przeprawę z ojcem i mamą. Albo awantury, albo przycinki. Mam chwile, że wszystko mi brzydnie, lecz gdy sobie przypomnę, że wszyscy wielcy ludzie borykali się z losem, zapominam o smutnej rzeczywistości. Czytam teraz studium Chmielowskiego<sup>75</sup> o Kraszewskim. Widzę w sobie wiele podobieństwa do niego.

Gdym kochał Zosię, źle mi było, teraz znów źle mi, że jej kochać nie mogę. „Poeta musi kochać, aby móc tworzyć”. Żal jakiś, tęsknota, a w sercu pustka straszna, pustka nieokreślona, a taka bolesna. Czym jest jednak szczęście jednostki w tym tłumie ludzi, istot żyjących.

16 stycznia

Czuję konieczność kochania kogoś, gwarzenia i pocałunków. Czuję całą potęgę szczęścia domowego ogniska. Wracam z pracy zmęczony, w domu czeka mnie ukochana żona z pieśczęcią i uśmiechem.

Przeraża mnie wielkość liczb, mil między planetami, ludzi na ziemi. Czym wobec tego jest jednostka, czym szczęście, życie pojedynczego człowieka, które ginie jak kropla w morzu? Nawet najwięksi są tak maluczcy. Czym cała ludzkość, jeśli nasza planeta jest tylko maleńkim punkcikiem?

16 stycznia

Dziś jestem w usposobieniu, że nie wierzę w swój talent. *Nemezys* nie ma żadnej przewodniej myśli, żadnego celu. Mama znajduje zadowolenie w rozprawianiu, co będzie, jak wygramy na loterii. To znaczy, że życie bez marzeń i nadziei byłoby niemożliwe. Największy sceptyk i pesymista wierzy i ma nadzieję; może wstydzi się do tego przyznać, sam siebie okłamuje, wpajając w siebie zasadę, że nie wierzy. Chciałbym pojechać do Monte Carlo, aby napisać studium: *Gracz*.

18 stycznia

Chcę napisać wielkie studium: *Dziecko*, dla napisania którego będą skrzętnie zbierał materiał z siebie samego i kolegów. Obmyśliłem kwestionariusz:

I. Warunki wychowania:

1. kraj.
2. miejscowość (miasto, wieś).
3. otoczenie (rodzice, krewni).

II. Pogląd na świat i ludzi:

1. na — religię.
2. na — wszechświat.
3. na — ludzi (król, chłop).

III. Przewroty w myślach w chronologicznym porządku:

1. zamiary na przyszłość.
2. kolekcjonowanie (marek<sup>76</sup>, roślin itp.).
3. okresy:
  - a) romantyczny.

<sup>75</sup>Chmielowski, Piotr (1848–1904) — krytyk i historyk literatury. Autor pracy pt.: *Józef Ignacy Kraszewski. Zarys biograficzno-literacki*, Kraków 1888. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

- b) patriotyczny.
- c) filozoficzny.

Czy to nie jest równie trudne jak opisanie cywilizacji całego świata?

Chociaż to niebezpieczne, muszę opisać i wybuchy namiętności, którym od pół roku ulegam (polucje). Toż samo ma Franek. I on boi się instynktownie o przyszłą generację i czuje w sobie miłość ojcowską. Smutna jest ta walka człowieka z namiętnościami, a jednak psychologowie dowodzą, że gdyby nie popęd płciowy, nie byłoby miłości, ani poezji, ani sztuk pięknych. Z pol. już by się można nawet pogodzić, gdyby nie sny lubieżne, które poniżają moją godność jako człowieka.

Br. już... Dopomógł mu stangret jego ojca. Żał mi go. I teraz przyjaźni się z T. i P. Śmiało mogę powiedzieć, że jest nad brzegiem przepaści. Chcę go wyratować, nie wiem jednak, jakie przedsięwziąć środki. Szkoda mi chłopca.

19 styczeń

Marzyłem, że zakładam pismo: „Debiut”, zasilane pracami tych, którzy w kurierach otrzymują odpowiedzi: „Nie do druku”. Wydaję numer okazowy i mam 10 000 prenumeratorów. Potem dodaję rysunki. Rozdmuchuję iskry talentu itd. Dziwna rzecz, z tych marzeń najwięcej zajmują mnie myśli, kiedy muszę zwalczać przeszkody.

Spotkałem znów Zosię na ulicy. Los zrząda, że gdy już zapomniałem, częściej ją spotykam. Nie wiem, ja jej nie lubię, ja ją jeszcze Kocham. Wszak lubię wiele osób, a ją Kocham. Miłość przycichła, ale nie zamarła.

Ojciec zabronił mi czytać, a ja bez książek nie mogę żyć. Książki zastępują mi towarzystwo, zabawy i szczęście domowe. Ach, gdyby to jak najprędzej wakacje.

Książka

20 styczeń

Rano dziś modliłem się, ale tak, jak się człowiek modlić powinien. Modliłem się, zdając sobie sprawę, co mówię, nie tyle słowami, ile myślą, duchem. Tylko taka modlitwa może człowieka pokrzepić, tylko taką być powinna modlitwa myślącej istoty. Inne zwą się „klepaniem”, a godne są dziada pod kościołem, dla którego jest ona rzemiosłem. Dziś nie dziwi mnie, że Bóg nie ma początku ani końca, gdyż widzę w Nim nieskończoną harmonię. Gwiazdy, wszechświat mówią mi o istnieniu Stwórcy, a nie ksiądz. Stworzyłem sobie nową wiarę, nie ma ona jeszcze określonego kierunku, lecz jest czysto duchową. Jest Bóg — mówi ona — jakim jest, na to umysł ludzki nie odpowie. Postępuj uczciwie i czyni dobrze, módl się dla tego, żeby Boga prosić, lecz aby o Nim nie zapomnieć, bo wszędzie go widzieć należy.

Modlitwa, Bóg

Po południu rozmawiałem z p. Wandą. Jedna ona mnie tylko rozumie, dodaje otuchy, nie każe się zniechęcać doznany mi zawodami. Chciałbym świat przeistoczyć, lecz to jest tak dziecinne, że wstydzę się tego. Panna Wanda nie może wyjść za mąż, bo nie ma posagu. Jakże to niskie tak frymarchyć swoją osobą. Nie mówię już o miłości, zgadzam się, że małżeństwo jest zbyt ważne, aby się powodować chwilowym, zmiennym często uczuciem, ale co jest wart człowiek, który się sprzedaje? Nawet zwierzęta idą za głosem uczucia. Czyżby człowiek był niekiedy niższy od zwierzęcia?

25 stycznia

Czytałem zakazaną (niecenzur.) książkę o przeniesieniu zwłok A. Mickiewicza<sup>77</sup> na Wawel. Kocham Polskę tak, że wszystko gotów jestem dla niej poświęcić. *Powrót taty*<sup>78</sup> był pierwszym wierszem, którego się uczyłem po *Ojciec nasz*. A teraz — *Borodino*<sup>79</sup>. Ale nie pleśniejemy pod jarzmem, przeciwnie, uszlachetniliśmy duch, więcej myślimy,

<sup>77</sup> *Mickiewicz, Adam* (1798–1855) — wybitny poeta pol. romantyzmu, działacz i publicysta polit.; autor wierszy, ballad, powieści poetyckich, dramatu *Dziady* oraz epopei szlacheckiej *Pan Tadeusz*; był porównywany do Byrona i Goethego. Przeniesienie jego zwłok z cmentarza Montmerency w Paryżu na Wawel nastąpiło 4 lipca 1890 r. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> *Powrót taty* — ballada Adama Mickiewicza. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> *Borodino* — chodzi o bitwę pod Borodino (5–7 września 1812) stoczoną pomiędzy wojskami Napoleona Bonaparte i armią rosyjską, w wyniku której Napoleon stworzył sobie drogę do Moskwy. [przypis edytorski]

gdy mówić nie wolno. — Adamie, niech Cię pocieszy myśl, że młodzież Polska kocha Ojczyznę i kocha Twe Wielkie Imię.

Znalazłem kwiatek zasuszony, który lat temu dwa blisko dostałem od Zosi. Marzyłem o Krakowie.

28 styczeń

Miewam często bóle w krzyżu, to znów zasypia mi ręka albo noga. Nie wiem, czy to ma jakiś związek z pol. Muszę iść do doktora, gdyż czytałem, że pol. częstsze niż raz na miesiąc są chorobliwe. Jak mi wstyd iść do doktora, wszak już byłem dwa razy w lecznicy, ale uciekłem. Często śni mi się, że schodzę ze schodów, nagle się potykam, spadam na łóżko i budzę się.

Kł. już trzy razy. Jest na stacji u Tr. Kiedy był sam, wszedł do kuchni, i służąca powiedziała, że go nie puści. Posadziła go na kolanach, a potem upadł. — D. już także i także ze służącą. Ja czasem nad myślami nie mogę panować, ale czyny zawsze zgadzają się z wolą.

Dziwne mam teraz uczucie. Nie mam jeszcze dzieci, a już je kocham. Czuję w sobie moc i uczucie ojcowskie. Widziałem małą śliczną roczną dziewczynkę. Co to za szczęście mieć takie małeństwo, wpajać mu swe zasady, rozwijać i kształcić umysł. Mieć piękną, kochaną przez się żonę, dobre dzieci, po dniu spędzonym w pracy spoczywać na łonie rodziny. Często myślę teraz i zbieram materiały do mego dzieciństwa (patrz kajet: „wspomnienia”).

Widziałem wieczorem ślizgających się przy świetle smoły. Robiło to wrażenie jakiegoś piekielnego wspaniałego igrzyska.

29 styczeń

Onegdaj położyłem się o 1-ej, wczoraj też samo. Chcę zmęczyć umysł, żeby mózg wyczerpany nie tworzył snów. Martwi mnie, że jestem przesądny. Kiedy widzę puste wiadra albo spotykam p..a<sup>80</sup>, wierzę, że mi się nie powiedzie. Na stole układam palce: „tak, nie, tak, nie”. Na tyle się przewyciężyłem, że nie pluję, jak spotkam p..a. Także mnie martwi moja chęć udawania, komedianctwo. Że niby w karnawale baluję, że otrzymuję listy od panien; kiedy niosłem kwiaty na imieniny p. Cecylii, chciałem kogoś spotkać, żeby widział. To takie śmieszne, dziecinne.

Gdym wracał z gimn., padał śnieg i topniał.

Jak śnieg ten czysty i biały  
Ułożony w gwiazd kryształ  
Spada na ziemię po to,  
By zmienić się w błoto.  
Tak dusza dziecinna,  
Czysta i niewinna,  
Spada na ziemię z Bożego łona  
I kona.  
Lecz nim zakończy swe życie,  
Ile nacierpi się skrycie,  
Ile łez jawnych wyleje,  
Przechodząc życia koleje.

30 styczeń

O 6 rano miałem sen erotyczny, bardzo dziwny. Śniło mi się, że w gimnazjum spotykam na schodach Zosię. Chcę iść z nią razem, więc wbiegam do klasy po tornister. Wtem wchodzi ksiądz i zaczynają się śpiewy. Obok mnie siedzi Rubinson. Poskarżył się na mnie Sieg. i ten mnie wywołał, powiedział, że to dobre przekonanie, które napisał o mnie, przekreśli, i wykreślił z listy 2 i 3; a tam też stał dyrektor. Potem wchodzę do

<sup>80</sup>pop — duchowny w kościele prawosławnym. [przypis edytorski]

mieszkania pani Kl., a tam przy niańce stoi chłopiec, może siedmioletni i drugi, może 19-letni nago. Przez otwarte drzwi widzę jakieś panny w bluzkach. Już mam wyjść, ale ten 19-to letni mnie woła. Wtedy niańka opiera ręce na moim ramieniu i...

Czuję się zupełnie dobrze. Czytam *Odyseję* w tłum. Żukowskiego<sup>81</sup>.

Tak mi żal ojca. I on pewnie w młodości roił, a dziś co z tego zostało. Myśl błąka się tylko około chleba. O Boże, pozwól mu dożyć starości, a mnie być mu podporą. Mama jest dobra, kocham ją bardzo, ale po co te ciągłe przycinki. Toż i Kraszewski „miał paskudny zwyczaj uczenia się tego, co mu dyktowała chęć, fantazja, a nie tego, co zadawali”.

Marzyłem, że jestem milionerem, który wszystko rozdał biednym, a sam umiera samotny na tapczanie. Płakałem.

6 luty

P. Józefa i żonę aresztowali, są w cyt.<sup>82</sup> Czy patriotyzm zasadza się na czytaniu zakazanych ksiązek? Toż każdy prędzej czy później będzie za granicą i tam może czytać, co chce.

Dostałem dewizkę z trupią czaszką. Tu człowiek widzi namacalnie ten symbol, zdający się mówić:

*Memento mori*<sup>83</sup>.

1 luty

Śniło mi się, że z greckiego dostałem 3, a dostałem 2.

Czy mniemanie, że człowiek pochodzi od zwierzęcia jest ateistyczne. Dopiero teraz zadałem sobie to pytanie. Jeżeli weźmiemy słowo ateista w literalnym znaczeniu, to jest:  $\alpha$  — nie,  $\mathfrak{z}\epsilon\acute{o}\varsigma$  — Bóg. Więc twierdzenie to ateistyczne nie jest; bo obala tylko pierwsze rozdziały Starego Testamentu, a nie istnienie Boga. — Mówiliśmy z Markiem o tym, że jesteśmy na przelomie. Musi się znaleźć jaki reformator lub wypadek, który nada inny bieg ludzkości. Człowiek bez wiary istnieć nie może, a z istniejących żadna nie jest dostępna dla intelig. człowieka.

8 luty

Nie znam dokuczł. cierpienia jak katar. Wargi schną, oczy bolą, myśl leniwieje. Wczoraj skończyłem *Pan Graba*<sup>84</sup> — cudne.

11 luty

Wierzę, iż walc jest tańcem czarodziejskim. Wierzę, że przyjemnie jest balować. Daleki jestem jednak od zazdrości, bo wiem, że to się musi znudzić. — Dziwny był powrót do domu. Dzień już prawie. Biedni ludzie idą do pracy. Spałem od 7½ do 12.

17 luty

Wczoraj po raz pierwszy marzyłem, że Zosia jest moją żoną. Zawsze myślałem tylko o przeszkodach, które zwalczam. Trzy pokoje. Ja — znany literat. Chciałem spać w stołowym pokoju, ale potem przeniosłem łóżko, wyszedłem z sypialni, a kiedy ona się położyła, zgasiłem lampę i sam się po ciemku rozebrałem. Potem dłoń w dłoni, długo gwarzyliśmy. Rano obudziłem się, cichutko wyszedłem, napisałem nowelkę, a przy jej łóżku postawiłem hiacynt. Kiedy się obudziła, przeczytałem nowelę o naszym szczęściu. „To nie moja zasługa, rzekłem, tyś mnie ukochana, natchnęła, ja tylko pisałem”.

Czemu ja nie rycerz z średniowiecznych czasów, który dla uzyskania ręki „damy serca” odjechał od rodziny do gór, skał i lasów, by walczyć z orłami i „lwom targać paszczęki”.

<sup>81</sup>Żukowski, Wasilij Andriejewicz (1783–1852) — rosyjski poeta i tłumacz. Przetłumaczył *Odyseję* Homera na rosyjski w 1849 r. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>cyadela — twierdza warszawska, w której mieścili się koszary i więzienie polityczne (X Pawilon) w czasach zaboru rosyjskiego. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>memento mori (łac.) — pamiętaj o śmierci. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Pan Graba — trzyzęściowa powieść Elizy Orzeszkowej (1841–1910) wydana w 1872 r. [przypis edytorski]

1 marzec

Czytam, czytam, czytam.

Jedną książkę kończę, drugą zaczynam, pożyczam, zamieniam.

Myślę dużo o telepatii. Dziś poddałem Sierg. myśl, aby mnie wyrwał i udało mi się. Może to tylko przypadek, bo poprzednio próbowałem ze trzy razy, lecz nie udawało mi się. Trzeba będzie powtórzyć ten eksperyment.

Od p. Wandy wracałem z Helenką pod rękę. Głupie to, ale dumny byłem. Nie lubię wizyt, bo mi się zawsze zdaje, że się naprzykrzam. Wolę książki.

2 marzec

Dostałem lekcję za 5 rb.<sup>85</sup> miesięcznie. Pol. nie miewam, mam zupełny spokój. Cieszę się to ogromnie, aby jak najdłużej.

Czytałem *We krwi*<sup>86</sup> Zapolskiej<sup>87</sup>. Głupia książka — sami wariaci. Nawet sprawozd. nie napisałem.

Trzeba się zająć historią literatury. Dante<sup>88</sup>, Szylle<sup>89</sup>, Szekspir<sup>90</sup>. Trzeba kształcić umysł, póki czas, a nie zajmować się tylko nauką szkolną, aby po 9 latach dostać patent na... nieuka. Wieczorem grałem z ojcem w 66 i naumyślnie psułem sobie 20 i 40, żeby przegrać, żeby mu choć tę przyjemność sprawić, że on taki biedny. Teraz sam wstydzę się tego, to było takie dziecinne.

3 marzec

Myśl przy mięsie:

Dopóty człowiek nie będzie wyższy od zwierzęcia, dopóki nie przestanie żywić się padliną. Budzi się dwóch ludzi: jeden, przyrodnik, mówi: mięso to materia, zawierająca posilne dla organizmu pierwiastki, lecz estetyk mówi: jaka różnica między mięsem zwierzęcia a człowieka. Zwierzęta to zwyciężone w walce o byt istoty, mówi moralista, bezbronne, więc zasługują na opiekę a nie na mord. Jak będę na własnym gospodarstwie, będę jaroszem.

Śniło mi się, że z greck. dostałem pałkę; nudzi mnie to, mam dosyć gimnazjum na jawie. Lecz wolę nawet takie sny niż tamte.

Jestem strasznie znużony. Zawsze kilka dni pracuję, potem parę odpoczywam.

4 marzec

Rano zawsze się spotykam z małą, może 13-letnią magazynierką. Szatynka i wielkie marżące, a takie łagodne i smutne piwne oczy. Codziennie 3–5 sekund patrzemy sobie w oczy. Jest między nami jakaś nić. I jam dla niej niezupełnie obojętny. Łączą mnie z nią marzenia. Byłem na cmentarzu. Gdym szedł przez biedne ulice, przyszło mi na myśl, że biedna dziewczyna łatwiej może upaść niż strzeżona panna bogatych rodziców, która nie podlega pokusom. Przyszedł mi na myśl temat do noweli, ale nigdy bym jej nie drukował. I tak dosyć mamy w literaturze brudów i zgnilizny a tak mało duchowego pokarmu. *We krwi* tak mnie zdenerwowało. Na krześle leżała chustka do nosa. Zdawało mi się, że to czaszka, że spod stołu wyjdzie jakiś potwór, aby mnie zniszczyć.

<sup>85</sup> 5 rb. — 5 rubli. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *We krwi* — powieść Gabrieli Zapolskiej (1857–1921) wydana w 1891 r. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *Zapolska, Gabriela*, właśc. *Maria Gabriela Śnieżko-Błocka, z domu Korwin-Piotrowska* (1857–1921) — pisarka, publicystka, także aktorka; zasłynęła z komedii demaskujących mieszczańską obłudę. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *Dante* (1265–1321) — jeden z najwybitniejszych poetów włoskich, autor *Boskiej komedii*. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *Szylle*, właśc. *Friedrich von Schiller* (1759–1805) — poeta, teoretyk sztuki, wraz z Goethem największy klasyk niemiecki. [przypis edytorski]

<sup>90</sup> *Szekspir*, właśc. *William Shakespeare* (1564–1616) — angielski dramaturg, poeta i aktor. Uważany za jednego z najwybitniejszych pisarzy literatury angielskiej oraz reformatorów teatru. [przypis edytorski]



Mój smarkacz strasznie mnie dziś zirytował. O! nauczyciele i nauczycielki, jakże godni jesteście pożałowania. Ciężki i gorzki chleb. Trzeba wpychać te luty<sup>91</sup> rozumu do zamkniętych głów. A ja jakim byłem? Teraz pokutuję.

5 marzec

Helenka pokłóciła się o gorset<sup>92</sup>. Woli żyć parę lat krócej, a porządnie wyglądać.

Jak dziwnie ludzie są zarozumiali. Na czym polega ich moralność. Czy mieć odkrytą twarz, czy co innego — czy to nie wszystko jedno. Z litością patrzą na dzikich którzy w wargi i nos wkluwają deseczki i kości itd., a nasze damy noszą kolczyki. Albo nasze pojęcia estetyczne? Gdyby człowiek miał rogowy nos, a twarz porośniętą piórami, byłby w naszym pojęciu wstrętny. A ptak? Pies i koń są śliczne, chociaż mają długie pyski, ogony itd. Albo nasza moralność? Czy ptaki nie moralniej żyją? Tam nie ma ani gwałtów, ani rozbojów. Przeczuję pol...

6 marzec

Miałem pol. Przeczyłem ją, lecz była bez widzeń. Gdym szedł do gimn., szukałem mej małej oczyma. Gdy jej nie spotkałem, doznałem niepokoju. Czy może chora? Ale to śmieszne. Czym już tak przywykł patrzeć przez sekundę w te jej ciemne, głębokie oczęta?

Myślałem o Zosi. Była to chyba ostatnia miłość tak czysta, czy dziś umiałbym jeszcze tak kochać, nie wiem.

Przyrodę zupełnie zaniedbałem. Teraz ciągnie mnie filozofia i literatura. Och, zmienna młodości błędząca w mgłę marzeń i złudzeń! Żukowski 7 lat pracował nad tłumaczeniem *Odysei*. Och, takiej pracy nigdy bym się nie podjął. Nie miałbym cierpliwości. Na przyszły rok trzeba wskrzesić posiedzenia po zreformowaniu ich; mianowicie odczyty będą nie tylko przyrodnicze, ale filozoficzne i literackie.

7 marzec

Rano znów nie widziałem Anielki. (Gdyby się tak naprawdę nazywała, byłoby to dziwne). Szukałem jej wzrokiem, a gdy nie spotkałem, ogarnęło mnie jakby rozczarowanie.

„Pieniądze nie dają człowiekowi rzeczywistego szczęścia” — oto zdanie, które poddyktowałem memu uczniowi, a na które postaram się odpowiedzieć, gdy będę miał czas. Czytałem krytykę Zoli<sup>93</sup>. Ma rację. Rzeczywiście za wiele mamy zgnilizny w literaturze. jeżeli jesteś pesymistą, nie zmuszaj, aby i w serce innych wkraść się jad zwątpienia. I tak ludzie za mało wierzą w możliwość i pożytek istnienia. Nie trzeba zapominać, że choć życie jest szkołą cierpień, to „są w nim takie słodkie chwile, za które wieki cierpieć warto”.

8 marzec

Czytam XX tom Sienkiewicza. Tematy niegodne takiego pisarza, który będzie nieśmiertelny, który stoi na czele i dzierży berło pisarzy współczesnych. „Kwiat lotosu”<sup>94</sup> wcielony w postać dziewczicy, która wszystkiego się boi, szczególnie serca poety „gdzie i śniegi, i głębie morza, i pustki stepu”.

Anielki znów nie widziałem. Głupstwo, chwilowa egzaltacja, nie trzeba się jej poddawać. Gdy nie kochać się — przykro, pustka w sercu, brak celu i wątku do myśli, kochać się — bez sensu w mym wieku.

<sup>91</sup>tut (daw.) — niewielka jednostka masy, tu przen.: nieco, odrobinę. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>gorset — daw. element ubioru, usztywniający i obciskający korpus, używany, aby podkreślić szczupłość talii kobiety. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>Zola, *Émile* (1840–1902) — francuski pisarz, główny teoretyk i przedstawiciel naturalizmu; opublikował 20-tomowy cykl powieści *Rougon-Macquartowie*, przedstawiający pełny obraz epoki (*Nana*, *Germinal*, *Ziemia*, *Kłęska*). Autor najważniejszego artykułu krytycznoliterackiego przedstawiającego teorię oraz estetykę naturalizmu. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>Kwiat lotosu — chodzi o utwór Henryka Sienkiewicza *Bądź błogosławiona! Legenda indyjska* z 1894 r. [przypis edytorski]

9 marzec

Dostałem pieniądze na wpis. Och, obym jak najprędzej stał się samodzielny, niezależny. Ileż ludzi w moim wieku już zarabiało na siebie, a ja ciągle jestem darmozjadem.

Anielkę (!) znowu dziś spotkałem. Zawsze sama, dziwnie poważna i patrzy mi prosto w oczy, nie znając zapewne konwenansów światowych, zabraniających tego jak grzechu. Jest to nieszkodliwa sielanka, lecz w przyszłości muszę być ostrożny, gdyż moja przyszła miłość nie byłaby już ta święta, czysta, nietykalna, lecz burzliwa i namiętna.

Czy od dziś za rok będę w szóstej klasie?

10 marzec

Często śni mi się, że się huśtam, w ogóle, że jestem „nad poziomami”. Czy to znak jaki?

Dziwny miałem dziś sen. Żeśmy wynajęli mieszkanie na jakiejś ulicy. Jam pierwszy raz wszedł do jednego ciemnego pokoju. Byłem wysoko, wysoko aż do zawrotu głowy. Na dole migwały latarnie, niebo było ciemne jak czarny aksamit, utkany złotymi gwiazdami. Był to jak płaszcz królewski, a na głowie tego wszechpotężnego monarchy była u czoła złota korona, księżyc. I doznałem uczucia: jakbym to kiedyś już widział we śnie. Wybiegłem do drugiego pokoju, gdzie śpią rodzice, lecz jakaś silna niewidzialna ręka mnie wstrzymuje. Wyrwam się i budzę... Powiedziałem sobie, że dziś wstanę o 7-ej, i o 10 minut przed 7-ą obudziłem się. Jest w człowieku silna wola, jakaś wyższa, nieznana dotychczas... Dziś Anielki nie widziałem, choć wyszedłem wcześniej, lecz nie dlatego, aby ją spotkać, tylko aby wpis zapłacić. A może? We wstępnej klasie jest jeden chłopaczek, takie ma ładne, ciemne oczy, podobne do jej.

Byłem u G. Poczęstowali mnie wódką. Przyszło mi na myśl, że wódka odbija się na spermatozoidach<sup>95</sup> i może odezwać się w potomkach. Podziękowałem, a potem żalowałem.

11 marzec

Wstaję codziennie o 7-ej, kładę się o 12-ej. Ogromnie mnie cieszy powrót wiosny. Temat do noweli z czasów tortur. Skazanego wrzucają do żelaznego pokoju, w którym jedna ściana jest na śrubie, ruchoma. I ściana ta wolno się przesuwają, na podłodze są kreski, i coraz ich mniej. Wreszcie ściana go tak przycisnęła, że bokiem tylko może stać. Opisać szczegółowo jego myśli.

Dziś jedna uczenica tak samo na mnie spojrzała jak Anieli. Gdybym ją codziennie spotykał, myśl moja ku niej by się zwróciła. Serce widocznie w tym wieku musi choć ludzić się, że jest czymś zapełnione.

Zacząłem czytać *Fausta*<sup>96</sup>, ale zauważyłem, że to jeszcze nie dla mnie. Przykre mi jest to przekonanie. Ja bym już chciał wszystko móc. Czytałem *Marię Malczewskiego*<sup>97</sup> i dużo pięknych miejsc chciałbym wypisać.

Nie chcę myśleć, że mogę nie dostać promocji. Może bym sobie odebrał życie. Szczególnie nęci mnie Wisła. Woda unosi martwe ciało daleko w nieznane kraje, aż zaryje się w miękką piasek i rozplywa. Wszystko z atomu powstaje. W bulce, którą spożywasz, może być perła Kleopatry, iza Chrystusa, proch Demostenesa<sup>98</sup> i ślina Ksantypy<sup>99</sup>. Okropna to odpowiedzialność spisywać wszystkie myśli. Gdyby to kto przeczytał, myślałby, że jestem obłąkanym. A może młodość jest naprawdę obłądem?

Młodość, Samobójstwo

<sup>95</sup>spermatozoid (med.) — plemnik. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*Faust* — cz. I wyd. 1808, cz. II wyd. pośmiertnie 1833; najważniejsze dzieło J. W. Goethego, uznawane za syntezę jego poglądów. Dramat został osnuty wokół zakładu Boga z Mefistofelem o duszę tytułowego Fausta, który zgodził się oddać ją diabłu w zamian za przywrócenie młodości i umożliwienie ponownego życia w poszukiwaniu szczęścia. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*Malczewski, Antoni* (1793–1826) — autor powieści poetyckiej *Maria*, poeta romantyczny tzw. szkoły ukraińskiej. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*Demostenes* (384–322 p.n.e.) — słynny mówca gr., głośny zwłaszcza dzięki swym mowom przeciw królowi macedońskiemu Filipowi (tzw. filipiki). [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*Ksantypa* — żona Sokratesa, której późniejsze źródła przypisywały nieczony charakter; pot.: zrzędlia, kłótniwa kobieta. [przypis edytorski]

7 kwiecień

Święta i wizyty znudziły mnie. O ile Boże Narodz. jest miłsze, i poetyczniejsze, nie polega na objadaniu się. W ogóle te święta mają tylko znaczenie dla tłumu. Błazi, znużeni chorzy robotnicy zapominają o troskach codziennego życia. Dzieci cieszą się stolikami, wszystko je bawi, wszystko nowe i nieznanne. A jutro znów proza życia i ciężka krwawa walka o byt. Śmieszna jest rozmowa kobiet. Przeskakują z tematu na temat: z poezji na drożdże, z drożdży na poezję i znów na sługi. Był pan R. Mówi, że się Polska rozkłada, że wszystkie placówki zagarniają m. i Żydzi. Była śliczna trzyletnia Manusia. Z jaką powagą mówiła, że Bożię męczyli, potem położyli do grobu, a dziś Bozia wstała (żeński rodzaj — sic!) i znówu żyje. D. ma z pornograficzne pocztówki, że też ludzie puszczają w świat takie brudy. Książka nieprzyzwoita może się obronić jakimś celem przynajmniej, ale to?... Dostał pokutę: trzy tygodnie po 4 litanie i obiecał poprawę. Ładna poprawa! Graliśmy w sekretarza. Dostałem: jakie są skutki sekretarza. Napisałem: „sekretarz czasem śmiesz, gdy złośliwością nie grzeszy, a czasem wzbudza gniew i ściąga piękną brew”. Dobrze, że się to już skończyło. Jaka ta Wanda zimna i nieprzystępna.

9 kwiecień

Trunki stanowczo mi zaszkodziły. Już było wszystko dobrze, a teraz znów. — Z mięsa jadłem dziś tylko maleńki kawałek cielęciny. Rzodkiewek ani musztardy też jeść nie będę. Podobno Michał Anioł<sup>100</sup> pryskał wodą na białą ścianę i z tych esów i floresów brał tematy do obrazów. Rozumiem myśli Herostrata<sup>101</sup>. On nie był bynajmniej wariatem. Co za cudowny temat do studium. Ten człowiek, palony żądzą wielkości, niczym niepohamowaną ambicją, widząc, że się nie wsławi, podpala świętokradzką ręką świątynię wiedzy; on nie miał wzniosłych uczuć ani patriotyzmu, a chce, aby imię jego choć ze wstrętem było powtarzane przez wieki. I dopiął tego. — Sława! — „Cały system planetarny, wszystkie gwiazdy — mówi Falb<sup>102</sup> — pochodzą z mgławicy (*Przewroty we wszechświecie*<sup>103</sup>). Kiedyś znów się połączą w jedną całość i znów się poodrywają nowe słońca”. Ale przecież astronomia to jedna wielka hipoteza, niemająca naukowego znaczenia. Tylko chemia rozwiąże zagadnienie bytu, i jej chcę poświęcić swą przyszłość.

10 kwiecień

Mam teraz trzy ulubione marzenia: 1. że podróżuję, zwiedzam Kraków, Wiedeń, Pragę, Peszt, Meran, Rzym, Neapol, Monako (*Hazard* — studium), Paryż (odkrywam wszystkie składniki komórki), Londyn, Monachium, Berlin. 2. że mieszkam w latarni morskiej, piszę przy wschodzie i krwawym zachodzie słońca, podczas burzy wśród spienionych fal; ratuję z rozbitego okrętu „ją” — i razem mieszkamy. 3. że znam 20 języków i jestem bibliotekarzem w Watykanie. 4. że jestem wodzem, wygłaszam mowy itp. Jakie to wszystko dziecinne i głupie, ale sprawia mi niewinne zadowolenie.

Boję się ciemności, boję się halucynacji, mniej wzrokowej, jak czuciowej: gdyby jakaś zimna koścista ręka nagle mnie pochwyciła, nie przeżyłbym tego. — Książki mnie denerwują niby, ale ja się nimi zasłaniam przed czymś gorszym. Jestem niby niedowiar-kiem, że odrzucam obrzędy. Ale pozostała mi wiara w Boga i modlitwa. Bronię tego, gdyż bez nich żyć nie można. Człowiek nie może być tylko ślepym trafem. A co robią moi „wierzący” koledzy aż strach pomyśleć. — Mięsa dziś wcale nie jadłem, miałem o to awanturę, jakbym ja żądał dla siebie osobnej kuchni.

20 kwiecień (z kartek)

<sup>100</sup>Michał Anioł (1475–1564) — jeden z najwybitniejszych włoskich malarzy, rzeźbiarzy i architektów epoki Odrodzenia. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>Herostrat, właśc. *Herostrates* — szewc, który w 356 p.n.e. spalił wielką świątynię Artemidy w Efezie dla zapewnienia sobie nieśmiertelnej sławy. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>Falb, Rudolf (1838–1903) — zajmował się trzęsieniami ziemi, meteorologią, astronomią i językoznawstwem. Twórca teorii, że księżyc wpływa na podziemne ruchy lawy, co powoduje trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów, odrzuconej przez społeczność naukową jeszcze za jego życia. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*Przewroty we wszechświecie* — polskie tłumaczenie książki Rudolfa Falba: *Przewroty we wszechświecie*, z 3 wyd. niem. przeł. W. P., Warszawa 1890. [przypis edytorski]

J. J. Kraszewski: *Dola i niedola*<sup>104</sup>.

Z biedą człek tuli się w ciemność, jak zraniony zwierz, gdy ma zdechnąć. — Wia-  
domo, jaka to czasem gorzka potrawa ta prawda, tak święta i piękna, gdy ją inni jedzą,  
a tak przykra, gdy nam ją podają. Kobieta, która się nudzi, zdolna jest czasem popełnić  
największą zbrodnię i najstraszniejsze głupstwo. — Miłość i nadzieja cudownie odżywiają  
człowieka. — Pierwsza miłość przebacza, ostatnia nigdy (? nie rozumiem tego zdania).  
— Bezczynność jest matką miłości — mówi Owidiusz<sup>105</sup>.

Mężny na śmierć ze wzgardą poziera,  
Nędzarz jej pragnie, tchórz się jej wydziera<sup>106</sup>.

Mickiewicz

Objawem wielkiej radości, podobnie jak wielkich boleści, jest milczenie lub  
łza.

Krechowicki<sup>107</sup>

Nie trwożę się grobu, bo gdy moje kości legną w ziemi, to będę z nią  
razem, z moją kochaną, i rozplnę się w drobne cząstki i żyć będę w liljach  
i koronach ich cichem życiem.<sup>108</sup>

Rojan<sup>109</sup>, Maska

Godzina trzecia. W klasie panuje gorące powietrze, którym oddycha 30 płuc, duszne,  
pełne trujących gazów. Nauczyciel zmęczony siedzi na katedrze. Uczeń jeden odpowiada,  
nauczyciel nie słucha, toteż bredzi 3 po 3. Uczniowie znudzeni sześciogodzinnym siede-  
niem, twarze znużone, oczy zaspane. Lekki ból głowy; skurczone mięśnie wskutek braku  
ruchu wywołują zasypianie palcy u rąk i nóg. A za szybą wesoło świeci słońce. Wróble  
swobodnie bujają, a za miastem natura się budzi. Tam swoboda, tu przymus, więzienie,  
kajdany. Kiedy znów będzie *in corpore sano mens sana*? Biedni nauczyciele, cóż dziwnego,  
że są zdenerwowani, źli i niesprawiedliwi. My znosimy to jarzmo, marząc o chwili  
uwolnienia, a oni? Z rąk ich wychodzą pokolenia, rosną i męźnieją, a oni do końca życia  
skazani na vegetację. Przesadzałem wczoraj kwiaty i myłem, zdawało mi się, że mnie  
dziękują, całują i pieszczą rękę, która je uwalniała od zimowego kurzu. Czytam antropo-  
logię. Jak dziwne są prądy w tej nauce. Jedni wołają o czystość obyczajów, drudzy głosują  
za poligamią. Zapewne źle jest, gdy ludzie chorzy pozostawiają potomstwo, ale skazać  
chorych na bezdzietność — to jest tak samo, jak zrzucić słabe dzieci ze skały. Curr<sup>110</sup>  
zebrał dane o wieku, w którym dziewczęta australijskie stają się matkami, jest to w wieku

Szkoła

<sup>104</sup>*Dola i niedola*. Powieść z ostatnich lat XVIII wieku — historyczna powieść Józefa Ignacego Kraszewskiego (1812–1887), pisarza, publicysty, historyka, wydana w 1864 r. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>Owidiusz — Publius Ovidius Naso (43 p.n.e.–17 a. 18 r. n.e.), jeden z największych poetów rzymskich, twórca licznych elegii o tematyce miłosnej, *Ars amatoria* (*Sztuka kochania*) i poematu epickiego *Metamorfozy* (*Przemiany*). [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*Mężny na śmierć ze wzgardą poziera, Nędzarz jej pragnie, tchórz się jej wydziera* — cytat z *Giaura* Adama Mickiewicza. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*Krechowicki, Adam* (1850–1919) — polski pisarz, krytyk, redaktor. Twórca rozpraw naukowych o Kraszewskim i Mickiewiczu. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*Nie trwożę się grobu, bo gdy moje kości legną w ziemi, to będę z nią razem, z moją kochaną, i rozplnę się w drobne cząstki i żyć będę w liljach i koronach ich cichem życiem* — Odnaleziony cytat z *Gazeta warszawska*, 23 sierpnia 1892, nr 223 brzmi: „I choć mi już blisko do grobu, ja przed nim się nie trwożę, jak inni starzy, bo gdy moje kości legną w tej ziemi, toż będę z nią razem, z moją kochanką, i rozplnę się w drobne cząstki i żyć dalej będę w liljach i koronach ich cichem życiem”. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*Rojan*, właśc. *Kazimierz Jan Rosinkiewicz*, pseud. *Rojan* (1865–1940) — twórca książek dla dzieci i młodzieży. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*Curr, Edward Micklethwaite* (1820–1889) — autor m.in. książki o Aborygenach, ich obyczajach i językach: *The Australian Race: Its Origins, Languages, Customs* (wyd. 1886). [przypis edytorski]

lat 10–12. Chyba żadne zwierzę nie zna takiego pastwienia się samców. Często teraz boli mnie głowa.

21 kwiecień

Po co ty wschodzisz, trawko wesola.  
Po co ty gniazdko zwijasz ptaszyno.  
Zima uśmierci kwiaty i zioła,  
W jastrzębich szponach piskłeta zginą.

Czy moje marzenia i nadzieje również wiatr zimowy zmrozi? Nie chodzę już teraz patrzeć na bramę domu, przez którą ona codziennie wchodzi i wychodzi: nie chodzę po ulicach, ludząc się, że ją może w tłumie ujrzeć przelotnie, nie marzę o niej, nie modlę się o jej szczęście, lecz tęsknię i z żalem wspominam czasy, kiedy słyszałem jej głos i oddychałem tym samym powietrzem, co ona. Dziś role się zmieniają; ona kończy już, a ja, który byłem wtedy niewinnym dzieckiem, wchodzę w najburzliwszą epokę życia.

Śniło mi się, że idę z Helenką przez Saski Ogród; pływały po sadzawce olbrzymie łabędzie, parę razy większe niż naprawdę, też z długimi szyjami. Jeden przewrócił się głową do wody i nie mógł mimo wysiłków się podnieść; ale drugi nadpłynął i podniósł go skrzydłem jak wiosłem. Pokazałem to Helence niby na dowód, że zwierzęta mają rozum. Dziwne, skąd się takie sny biorą.

Poddałem dziś niemcowi<sup>111</sup> myśl, aby wyrwał Gór. Trudne do uwierzenia, a jednak prawdziwe. Wyrobiłem sobie sławę medium, ale nie chcę robić często tych eksperymentów, bo mnie to nuży i wyczerpuje, a wówczas się nie udaje.

Jestem teraz zupełnie spokojny, nawet nad myślami panuję.

25 kwiecień

Dzień dzisiejszy rozpocząłem od umycia się od stóp do głów; powinienem to co dzień powtarzać, bo się pocę, co jest dowodem osłabienia. Chcę żyć, kochać i być szczęśliwym. Do lasu, do lasu, do pól i łąk, i do strumyka leśnego! Zanurzyć się i tak długo być pod wodą, aż zbraknie tchu. Potem biegać po piasku, położyć się na trawie na słońcu, zamknąć oczy i nie myśleć o niczym, o niczym, o niczym. A potem wyplakać się w ramionach ukochanej.

Tęsknię za egzaminami z dziecinną zgoła niecierpliwością, radością i niepokojem. Tęsknię do nocy bezsennych, spędzonych na gorączkowej nauce, kiedy myśl nie ma czasu błędzić, a serce tęsknić.

Przez podłogę przechodził karaluch. Nie zabiłem go. Dziwna rzecz, stanął, jakby oczekując na uderzenie. Przyszło mi na myśl, że może w nim jest dusza zmarłego (metapsychoza<sup>112</sup>), potem, że może wiosna wywołała go z kryjówki. Lampa — to dla niego słońce. Może i robaki mają swoje nadzieje, jak ludzie. A czy człowiek nie jest drobny wobec olbrzymów, którzy może cały świat obserwują przez mikroskop? Gdyby tak mieć w lecie ze cztery lekcje, trzech uczniów i jedną uczennicę. Gdybym miał pieniądze, chodziłbym często do teatru.

Myślałem, że każdy człowiek powinien mieć dwa urzędy, jeden umysłowy, drugi fizyczny. Minister mógłby być krawcem, lekarz albo inżynier jedną albo dwie godziny byłby stolarzem. Przy fizycznej pracy mógłby myśleć, a nie byłoby też poniżającej godności specjalizacji.

27 kwiecień

Pol. nie osłabiła mnie. M. też ma p. Doktor kazał mu pić rumianek, powiedział, że to nie jest szkodliwe. Może ja to biorę zanadto tragicznie. — Byłem na odczycie: „Życie jako przedmiot badań naukowych”. Wracając, marzyłem, że mam odczyt „Wiara, nadzieja

<sup>111</sup>niemiec — tu: nauczyciel niemieckiego. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>metapsychoza, właśc. *metempsychoza* — reinkarnacja; pośmiertne powtórne wcielenie duszy w inne ciało. [przypis edytorski]

i miłość”, że mówię pięknie, że setki ócz widzę, utkwionych w siebie; dwie pensje<sup>113</sup> patrzają na mnie z zachwytem. Jestem próżny, i boli mnie to, ale któż nim nie jest? Może pod wpływem tego miałem sen, że jestem w gimnazjum, siedzę na katedrze, nagle wchodzi nauczyciel i patrzy na mnie. Taki wzrok tylko we śnie można widzieć: straszny, oblakany, czarny. Tak patrzy tygrys, gdy gotuje się do skoku. Zacząłem jęczeć (głośno) i obudziłem się.

4 maj

Ważno studentów i robotników aresztowano. Francji wolno wielbić Joannę Dark<sup>114</sup> i Napoleona<sup>115</sup>, tylko nam nic nie wolno. Soc.<sup>116</sup> do mnie więcej przemawia, bo chociaż teoretycznie jest przeciwpaństwowy, ale w praktyce tak nie jest, zresztą jeżeli broni w Polsce lud od wyzysku, to przecież broni nie Chińczyków, tylko Polaków. W wakacje poświęcę studiom ekonomicznym. Zdaje mi się, że rozwijam się normalnie, pozostawiając je na koniec. Najprzód stosunek człowieka do natury, której jest wytworem, a potem ludzi do ludzi. Szanownemu uczniowi dałem dziś w skórę. Lekcji nie zrobił i hardo się stawiał. Kiedy go biłem i mocowałem się z nim, byłem pobudzony. Przyszło mi na myśl, czy między nauczycielami surowymi nie ma takich „ludzi zwierząt”, którym znęcanie się sprawia zadowolenie erotyczne. Myśl godna leniucha. Trzeba się serio wziąć do nauki, bo filozofowaniem egzaminów się nie zdaje.

11 maj

Ostatni raz byłem dziś w tornistrze. Gdyby człowiek miał możliwość przesuwania czasu bez możliwości cofania go — żyłby jedną chwilę, ciągle pragnąc być starszym.

Przechodziłem przez ogród. Siedzieli Ad. i Aniela. Zdaje się, że są obrażeni, że mimo zaproszenia nie byłem. Ledwo się odклонili. Na razie rozgoryczyło to mnie, a teraz kpię sobie.

Rzodkiewek wcale nie jem, mięsa też b. mało. Stare krosty znikają, a nowe już się nie robią. Z czytaniem muszę się teraz kryć, książkę trzymam w otwartej szufladzie, którą za każdym skrzypnięciem drzwi zasuwam. Na lato może pojedę do Ojcowa.

Rozmawiałem z p. Aleksandrą. Miła i ładna, a wiekiem swym tak zręcznie manewruje, że wypowiedziane jej ustami 27 lat, wcale nie brzmi staropanieństwem. Biedna, gdy pracuje, nie myśli o niczym, lecz w czasie świąt czuje pustkę i widzi, czym jest przeznaczenie kobiety. Żałuje teraz, że gdy była młoda, przebierała w konkurentach. Zdaje się, że nie jest mi obojętną.

19 maj

Znow burza się zerwała. Poprzedzały ją bóle głowy. Ból szarpie, rwie, świdruje, lupie, tylna część głowy ciąży. Każdy krok nieznośnie uderza w mózg. To znow zawroty, że mało się nie przewrócę. Nie wiem, czy mam pisać, bo mnie to też denerwuje. Franciszka igra z ogniem. Wczoraj byliśmy sami, było pranie, chciałem napić się wody i uderzyłem się w rękę. Miała ręce zakasane i bluzkę rozpiętą, widać było szyję i nawet część piersi. Byłem niby spokojny, w każdym razie nie ja zacząłem, ona pierwsza powiedziała: „jak panicz złamie rękę, to żadna panna nie będzie p. chciała”. Et, bierz ją licha. Charakterystyczny był jej argument, że „przez okno mogą zobaczyć”. Lepiej się stało, bo ja nie umiałbym wyrzec się nawet nieprawego dziecięcia, bo co ono byłoby winne? W ogóle zauważyłem, że zaczynam być mężczyzną, już nawet na ulicy jedna dała mi znak. Och, z taką nigdy —

<sup>113</sup> pensje — pensjonarki, uczennice pensji dla dziewcząt; osoby niedoświadczone, niewinne. [przypis edytorski]

<sup>114</sup> Joanna Dark, właśc. Joanna d'Arc (1412–1431) — nazywana Dziewicą Orleańską, fr. bohaterka narodowa, katolicka święta, twierdziła, że prowadzi Francuzów do zwycięstwa natchniona przez Boga, spalona na stosie w wieku 19 lat. [przypis edytorski]

<sup>115</sup> Napoleon, Bonaparte (1769–1821) — cesarz Francuzów w latach 1804–1814, król Włoch 1805–1814, twórca Księstwa Warszawskiego, wybitny wódz i polityk europejski; poniósł klęskę w trakcie wyprawy na Moskwę, pod Lipskiem i pod Waterloo, zmarł samotnie, wygnany na wyspę św. Heleny. [przypis edytorski]

<sup>116</sup> socjalizm — ruch społeczny powstały w XIX w., głoszący hasła ładu społecznego opartego na zasadach wspólnoty, równości i racjonalnego zarządzania gospodarką. [przypis edytorski]

lepiej śmierć. Piję dużo wody, by zgasić ogień, który wewnątrz mnie goreje. Gdy polewam zimną wodą płonące ciało, wtedy gdy nie mogę pochwycić z zimna oddechu, czuję silną emocję i przypływ energii do walki ze zmysłami i... egzaminami.

27 maj

Wczoraj wieczorem wyglądałem przez okno do 1-ej. Ten cichy szept nocy tak usposabia poetycznie; ma niewysłowny urok, zwraca myśl ku przeszłości. Myślałem o egzaminach, właściwie o jednym. Jak to denerwuje... Wstałem o 6 m. 15, rano nie tak przyjemnie. Dzień jasny, noc ciemna, dzień wesoły, noc marząca, zadumana. Uczyłem się razem z Leonem. Czytałem swój dziennik sprzed dwóch lat, śmiałem się z tych fikcyjnych cierpień i katuszy miłości. Jak ja się zmieniłem.

8 czerwiec

Straszna noc. Położyłem się o 12, żeby mieć świeży umysł, próbowałem marzyć o latarni morskiej, ale umysł wymówił mi posłuszeństwo. Nie mogłem uleżeć na miejscu. Myśl, że przystąpię do egzaminu zdenerwowany, przerażała mnie. Wpadłem w malignę. Cały pokój napelnił się ludźmi jak na pogrzeb, rozmawiali ze współczuciem i szeptem. Rodzice płakali. Że nie spałem, dowodzi, że wiedziałem, że leżę w łóżku, że jutro egzamin, że sobie jeszcze życia nie odebrałem. Chociaż nie słyszałem, co mówią, bo mówili szeptem, wiedziałem, że mówią o mnie, że jestem bohaterem tego dramatu. Przez całą godzinę modliłem się. Wyciągnąłem dobre pytanie, ale pytał się z całego kursu, przeszło pół godziny. To było dziwne, w miarę jak gorzej odpowiadałem, robiło mi się wszystko jedno. Niech postawią, co chcą, byle mnie już puścili. Podczas tego wszedł dyrektor, energia we mnie wróciła. Sierg. coś mu szepnął do ucha. Pomyślałem: poczekaj sk. s. (dosłownie!) i zacząłem odpowiadać śmiało i dobrze. Spojrzał na mnie z nienawiścią, nasze spojrzenia, pełne zaciekłości, się skrzyżowały! Dwa razy dyrek mówił, że już dosyć, a on nic.

No, przeszło. Mam promię!

21 czerwiec

Nie było w mojej miłości ni wyznań, ni uniesień, lecz błogi smutek w rozkoszonym chaosie. Nie kocham Zosi, jeno czuję dla niej bezgraniczną wdzięczność za to, że gdy będę borykał się z losem, gdy będę walczył z ukrytym w mej jaźni zwierzęciem, siła minionego uczucia, wspomnienie o chwilach „sielskich anielskich” będą mi tarczą ochronną od podłości.

Ogarnęła mnie kojąca apatia. Rano chodzę do Wisły, potem w Łazienkach albo nad Wisłą chodzę i patrzę na ludzi. Mam tom Asnyka<sup>117</sup>, ale nie czytam. Myślę.

Może rodzice mają słuszność? Chciałem sam się wychować i wychowałem się źle. To bezładne czytanie obaliło wiarę ślepą, zbudziło myśl w złym kierunku, nauczyło myśleć o tym, co niedostępne dla ludzkiego umysłu i wydarło mi szczęście. Marzenia, rozmyślanie i idea wolności, to źli sprzymierzeńcy.

Panna Julia ostro skrytykowała moje nowele. Czuję, że ma słuszność. Zwykle prosi się o bezstronność sądu, a jednak żal mamy, gdy nam przykrą powiedzą prawdę. Nie chce się człowiek przyznać, ale w najskrytszym zakątku duszy jest chęć usłyszenia pochlebstwa.

Z Franciszką jestem chłodny i z daleka.

25 lipiec

O, święta miłości. Z rozwartymi ramionami spotykam cię, jak dawno oczekiwaną starą przyjaciółkę. Oczekiwałem cię całą istotą, całą duszą moją. Nadeszłaś, aby mnie obronić, wznieść w krainę słodkich marzeń, snów, tęsknoty i... słodkich cierpień. O, czysty strumieniuu! Znowu czuję wartość życia, widzę, że człowiek nie jest tak niski, kiedy gore w nim ten święty znicz. Czy ta moja idylla w wagonie nie była tęsknotą za uczuciem?

Książka

Miłość romantyczna

<sup>117</sup>Asnyk, Adam (1838–1897) — czołowy poeta polskiego pozytywizmu. [przypis edytorski]

Przeklinałem życie, naukę i ludzi, za to, że zdarli z mych olśnionych źrenic zasłonę, przez którą widziałem ludzi rozumnymi, naturę mądrą, a kobietę — świętą i czystą. Bałem się, czy ta miłość będzie również czystą — płonne obawy, jam do innej niezdolny. Między mną a nią stoi cień tej pierwszej miłości, ale zamiast oddalać, zbliża. Bo ona podobna do Zosi jak dwie krople wody, tylko wzrok ma inny. Tamta poważny i myślący, ta — figlarna i słodka. I śmieje się głośno, a śmiech ten brzmi jak dzwonek kryształowy. Będę się modlił za obie, dwa imiona będę kreślił machinalnie. O miłości! Wielka jest twa potęga, uszczęśliwiasz i uszlachetniasz zarazem. Wybuchasz jak wulkan, jak źródło, długo i zazdrośnie strzeżone przez ziemię, skorupę zimną i obojętną. Szukałem cię, bo ta straszna pustka mnie mroziła.

Kto w miłości pieśń żaloby  
Raz zanucił, wiecznie nuci;  
Kto raz zabłądził na groby,  
Już z nich na świat nie powróci.<sup>118</sup>

Mylisz się Wieszczu, oto śpiewam pieśń szczęścia, ja dziecię tęsknoty, oto na grobie zamaryłych marzeń ujrzałem tęczę.

— Mnie najbardziej pociąga pustynia i morze — rzekłem.

— A mnie oaza i wyspa — powiedziała.

Dziwna jest. Raz zapatrzy się w lunę zachodzącego słońca, a wówczas taka podobna do Zosi, to znów roześmieje się i powiada:

— Czy pan umie flirtować?

— Nie, umiem marzyć.

Nazywam ją w myśli Satanellą.

Ojciec jej jest lekarzem, jaki to szczytny zawód. Może to pragnienie w niej życia i radości jest dziedzictwem ciągłej walki jej ojca ze śmiercią.

*(w godzinę później)*

Różnica między tym i tamtym uczuciem jest ta, że dziś analizuję więcej i... nie ufam... Satanelli.

*1 sierpień*

Zdradziła. Ten jeden wyraz starczy za tomy całe. — Trudno, chociaż nie jestem studentem, nie chcę odgrywać roli takiego „od biedy”, na drugim planie. — Podobno co rok urzędują sobie „sezonowe miłości”. Życzę powodzenia. Powiem jej to przy okazji. Na szczęście, nie sam chodzę po polach i lasach: mam książki i wspomnienie. Teraz dopiero rozumiem, czemu zawdzięcza Szekspir swą nieśmiertelność. Dobrze, że stało się to prędko, że nie zdążyłaś zbyt głęboko wkraść się w me serce, więcej cierpi moja duma niż serce, panno Satanello. Nie, ja nie umiem flirtować, nie mam studenckiego munduru i nie mam roweru.

*12 sierpień*

Długo rozmawiałem dziś z panną Wandą o *Nędznikach* Wiktora Hugo<sup>119</sup>, o wychowaniu dzieci, o przeznaczeniu człowieka i o przyjaźni.

Nie, mężczyzna nie może otworzyć przed kobietą całej swej duszy: Czy w ogóle istnieje przyjaźń, na czym polega jej istota? Wszak ja szukałem jej tak długo, tyle razy zdawało mi się, że już ją znalazłem i tyle razy smutny, rozczarowany mówiłem: „nie, to nie ten, o którym myślałem; on mnie nie rozumie”. Między kobietą a mężczyzną przyjaźń, a właściwie platoniczna miłość, dlatego może istnieć, że przyjaciółka odczuje to, co

<sup>118</sup>*Kto w miłości pieśń żaloby Raz zanucił, wiecznie nuci; Kto raz zabłądził na groby, Już z nich na świat nie powróci* — zmieniony cytat z *Widowiska*, I części *Dziadów* Adama Mickiewicza: „Kto w młodości pieśń żaloby/Raz zanucił, wiecznie nuci;/ Kto młody odwiedza groby,/ Już z nich na świat nie powróci”. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*Hugo, Victor* (1802–1885) — francuski pisarz, poeta, dramaturg i polityk, czołowy prozaik francuskiego romantyzmu, autor m. in. *Nędzników*. [przypis edytorski]



niedopowiedziane. Jeśli sam się nawet nie znasz, ona odgadnie intuicją. Jeśli nawet nie wyznasz niskich, brudnych popędów z woli nielitościwej natury — ona jeśli jest równą ci umysłem i sercem, zrozumie, ile walk przechodzisz i nie rzuci w ciebie kamieniem. Właściwie przyjaciółmi dzieci powinni być rodzice. Ojciec od najmłodszych lat powinien być powiernikiem wszystkich myśli i marzeń dziecka, a nie zbywać ich kpinami i lekceważeniem, lub oddawać płatnej służbie i nauczycielom. Czyja wina, że tak nie jest, że rodzice nie znają swych dzieci, że jak trafnie opisane to w *Naturach zagadkowych* Spilhagena<sup>120</sup>, „dzieci są sierotami w domu własnych rodziców”.

Jak oni, dorośli, nie znają naszego wieku, dowodzi taka rozmowa:

— Chłopcy i dziewczęta to jak proch i ogień — mówi pani L. — Trzeba tak pilnować, na chwilę nie wolno zostawiać samych, bo nieszczęście gotowe.

Myli się szanowna pani. To zależy przede wszystkim, jacy chłopcy i jakie dziewczęta. A po drugie, dlaczego się pani śmiała przy tym? Jeśli żyjesz w tak smutnym przekonaniu i w takiej koncepcji wieku młodzieńczego, powinnaś była zapłakać.

Nie przeczę, że młodość ma swoje burze, ale jak bohatersko z nimi walczy. Z jednej strony przepiękny głos natury, rozzuchwalony jeszcze przez nieracjonalne wychowanie (miękkie łóżko, piwo, mięso, siedzący tryb życia), i brak ideałów, których sami musimy szukać często na bezdrożach i w niebezpieczeństwie — to wszystko, ta cała armia, świetnie uzbrojona i wyćwiczona — a z drugiej strony młodzież bezbronna, bez jednego sprzymierzeńca, tylko kierowana instynktem samozachowawczym. Gdybyśmy sami nie walczyli, aż nam tchu brak i żyły występują na czoło, tobyście nie upilnowali „prochu i ognia”. Oto co ci w twarz rzucam, czcigodna pani. Dobrze, że nowe pokolenie matek, takich jaką będzie panna Wanda w przyszłości, inne będzie miało zapatrywania.

15 sierpień

Czytam wyłącznie klasyków. Nudne powieści dla bez trwalszej wartości pozostawiam moim rywalom, bawidamkom, panom Sawuarym Wiwrowiczom<sup>121</sup> i ich adoratorkom.

*On n'est jamais si heureux ni si mal heureux qu'on se l'imagine*<sup>122</sup> — mówi La Rochefoucault<sup>123</sup> — i ma słuszość.

Flirt kwitnie wokół. Ja staję z boku i obserwuję. Jest tu M., młodszy znacznie ode mnie. Niczym się nie krępuje. Całuje „panny” po rękach, przyciska je do siebie, dotyka, kładzie im głowę na kolana, a młodsze bierze na kolana i pieści w bardzo dwuznaczny sposób. Jest silnym brunetem, tym tłumaczę sobie, że jest tak nieposkromiony, a przy tym młodszy, więc prędzej mu się wybacza. Jednakże i ja byłem młodszy. Może miłość mnie obroniła.

Dużo myślę teraz o przeszłości, zbieram materiały do studium: „Dziecko”. Panna Wanda obiecała mi książkę *Reformatorzy wychowania*<sup>124</sup>. Spencer<sup>125</sup>, Pestalozzi<sup>126</sup>, Fre-

<sup>120</sup> *Spielhagen, Friedrich* (1829–1911) — niem. pisarz, tłumacz, teoretyk literatury i rewolucjonista. [przypis edytorski]

<sup>121</sup> *Sawuary Wiwrowicz* — od fr. *savoir-vivre* (znajomość życia) oznaczającego oglądę i znajomość reguł grzeczności. [przypis edytorski]

<sup>122</sup> *On n'est jamais si heureux ni si mal heureux qu'on se l'imagine* — Och, nigdy nie jesteśmy ani tak szczęśliwi, ani tak nieszczęśliwi, jak nam się wydaje. [przypis edytorski]

<sup>123</sup> *La Rochefoucault*, właśc. *François de La Rochefoucauld* (1613–1680) — fr. pisarz i filozof. [przypis edytorski]

<sup>124</sup> *Reformatorzy wychowania* — Robert Hebert Quick (1831–1891), *Reformatorzy wychowania: zasady wychowania nowoczesnego*, przeł. z ang. J. Wł. Dawid, Warszawa 1896. [przypis edytorski]

<sup>125</sup> *Spencer, Herbert* (1820–1903) — ang. filozof, biolog i antropolog, współtwórca socjologii; twórca ewolucjonizmu, systemu filoz. uznającego stopniowy rozwój za powszechną zasadę wszechświata, której podlega cały świat fizyczny, organizmy żywe, umysły, kultury i społeczeństwa; zasady etyczne uważał za podlegające zmianom, wytworzone w toku ustawicznie trwającej ewolucji; również naturalistycznie wyjaśniał powstanie i rozwój religii. [przypis edytorski]

<sup>126</sup> *Pestalozzi, Johann Heinrich* (1746–1827) — szwajcarski pedagog i reformator edukacji, przedstawiciel romantyzmu, założyciel licznych instytucji edukacyjnych w Szwajcarii i autor licznych dzieł, w których wyłożył swoje przełomowe tezy na temat kształcenia. Za jego zasługę uznaje się niemal całkowitą likwidację analfabetyzmu w Szwajcarii w pierwszej poł. XIX w. [przypis edytorski]

bel<sup>127</sup> itp. Kiedyś i moje nazwisko znajdzie się w tym szeregu. Jak można Rousseau<sup>128</sup> nazywać wielkim wychowawcą, przecież on musi sam być ideałem moralności, inaczej nie może być wzorem.

Staram się dużo chodzić i pływać, aby zebrać hart, na nowe walki w niehigienicznych warunkach. Kant<sup>129</sup> 8 godzin pracował, 8 odpoczywał i 8 spał. Snów nie miesam teraz żadnych. Pol. miałem dwa czy trzy razy, gdybym był panną, miałbym *menses*<sup>130</sup>. Bóg nie może być tak nielitościwy, żeby umyślnie zabijał twory Swoje — widocznie to głos natury. We francuskim robię postępy.

*Z przeszłości*

(Z cyklu „Dziecko”)

Motto: *Vous qui ne savez pas, combien l'enfance est belle  
Enfants. n'enviez point notre âge de douleurs,  
Où le coeur tour à tour est esclave et rebelle,  
Où le rire est souvent plus triste, que vos pleurs.*<sup>131</sup>

W. Hugo

Młodość jest piękna, ale nie najpiękniejsza. Natura rozdzieliła szczerze swe powaby między wsze ery życia. Ma starość swe radości, ma młodość swe ciernie. Czemu ze łzą tęsknoty wspominają młodość? Bo przeszła i nie powróci.

I ja w zaraniu życia mam swoją przeszłość, którą ze łzą rozrzewnienia wspominam. Udziałem człowieka wiecznie tęsknić, wiecznie oczekiwać.

Wśród ciszy nocy wsłuchuję się w uderzenia serca, wpatruję w ciemność bezbrzeżną i płaczę. Czemu? Bo mi żal dzieciństwa, nieświadomości, niewinności, spokoju. Nic nie burzyło cichej powierzchni umysłu.

Dziś chciałbym wszystko objąć, wszystko wiedzieć — a to jest mrzonką niestety. Mnożą się zagadki, coraz więcej gromadzi się pytań, a to boli i upokarza.

Płaczę nad grobem swego dzieciństwa, jak nad grobem starca, który musiał umrzeć, bo wszyscy umrą, a jednak żal nam, bośmy go czcili i kochali.

Niech staną mi w pamięci uczucia, myśli, zdarzenia; a będę wśród nich, jak wśród starego, cichego cmentarza. Niech ujrzę jak w panoramie, siebie dzieckiem. Niech błogi spokój otuli mnie jak matka dziecko, matka, która zrosiwszy łzami bólu i radości.

Strzeże cię wiernie w twojej niemocy, słabości,  
Śnieżne jej piersi sączą ci strumienie  
Zgaduje każdy ruch twój, płacz i uśmiechnienie.

Niemcewicz<sup>132</sup>

<sup>127</sup> *Frebel*, właśc. *Friedrich Fröbel* (1782–1852) — twórca systemu pedagogicznego, podkreślał specyficzne potrzeby dziecka i postulował edukację przedszkolną przez zabawę, śpiew i taniec, opracował też projekty zabawek edukacyjnych. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> *Rousseau*, *Jean-Jacques* — fr. pisarz, pedagog i filozof. Autor książki *Emil, czyli o wychowaniu*, w której głosił hasło powrotu do natury. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *Kant*, *Immanuel* (1724–1804) — niemiecki filozof, profesor logiki i metafizyki na Uniwersytecie Królewskim. Twórca filozofii krytycznej, która miała na celu wszechstronne rozważenie z perspektywy rozumu władzy poznania, w tym sfer takich jak religia, prawo i polityka, wcześniej nie poddawanych podobnej refleksji, oraz sam rozum. Kant zniósł rozdział między racjonalizmem i empiryzmem: wg niego do pełnego poznania potrzebny jest zarówno rozum, jak i doświadczenie, a jedno bez drugiego jest niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *menses* (łac.) — menstruacja. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *Vous qui ne savez pas, combien l'enfance est belle Enfants. n'enviez point notre âge de douleurs, Où le coeur tour à tour est esclave et rebelle, Où le rire est souvent plus triste, que vos pleurs* (fr.) — fragment wiersza W. Hugo *A une jeune fille*, który nie został przetłumaczony na język polski. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *Niemcewicz*, *Julian Ursyn* (1757–1841) — poeta, powieściopisarz i dramaturg polskiego Oświecenia, poseł Sejmu Wielkiego. [przypis edytorski]

(Może lepiej coś z *Echo kołyski*<sup>133</sup>, bo Asnyk więcej pasuje w liryce do Wiktora Hugo?).

I.

Mam lat trzy albo cztery, chodzę jeszcze w sukience.

Dlaczego każą mi iść spać? Tak przyjemnie wieczorem się bawić. Nie chce się dziecku żegnać z zabawkami, jak młodemu z życiem. To też płakałem, gdy rozbierano mnie do snu: — Nie chcę, nie pójdę — protestowałem. Potem zapomnienie w łagodnym Morfeusza uścisku.

Razu pewnego — nie wiem, czemu fakt tak małej wagi tak głęboko utkwiał mi w pamięci. Razu pewnego postanowiłem sam udać się na spoczynek. Zdjąłem sukienkę, zostałem w czerwonej włóczkowej spódniczce. Zawiesiłem ją na drucie od siatki — i nagle rozplakałem się ku zdumieniu obecnych. Błogosławione lzy.

(Jałmużna, Babcia, Olszewski, marki, tramwaj itp.).

20 sierpień

Mademoiselle J. opowiadała mi o panu S., że się do niej przystawia. Kiedy raz zamykała okno, on stał i patrzył.

— Już od godziny panią obserwuję — powiada — widziałem, jak się pani rozbierała. Jaka pani ładna w koszuli. Ta co była przed panią, była mi przyjaciółką, a pani...

Tak mówi ojciec rodziny do wychowawczynie własnych dzieci, ten który ma stać na straży czystości domowego ogniska. O nieszczęśni niewolnicy chuci. Biedne dziewczęta, z dala od ojczyznej ziemi, na ile narażone są niebezpieczeństw, tu w tej Polsce, która słynęła z gościnności i rycerskości względem kobiet — niegdyś, ale widocznie już nie dziś. Może on tak rozumie gościnność, jak ci dzicy, którzy gościowi oddają żonę i córkę, i do dobrego tonu należą z tego korzystać.

Wczoraj, przechodząc obok Satanelli (przydomek ten przyjął się, ku jej, zdaje się, zadowoleniu), powiedziałem do panny D. głośno:

— Chodźmy do lasu flirtować. A Józio będzie nam parawanem.

Flirtować, powiedziałem z ironicznym naciskiem.

Wiem, że to było głupie, może to wpływ mojej Francuski, ja tak bardzo ulegam wpływom.

W Warszawie zostaną mi moje lekcje. Ta idealna pani G., jednak umie się targować. Jakie to dla mnie wstrętne. Czy to nie hańba, żeby za spełnianie szczytnego posłannictwa, jakim jest rozwijanie ducha, budzenie myśli, aby za powtarzaniem wypełnianie obowiązku tylko, brać pieniądze? Ustrój kapitalistyczny musi runąć, tylko nie wiem w jaki sposób. Wakacje się kończą, a ja w naukach ekonomicznych nie posunąłem się ani o krok.

Jeżeli kiedyś zginę, zabije mnie brak woli.

3 sierpień

Znów w Warszawie. Zacząłem od Kościoła i Ojczyzny.

Dla naszego nerwowego pokolenia zewnętrzne akcesoria mają duże znaczenie. Muzyka kościelna i śpiew w nieznanym języku mają wielki wpływ. Muzyka smutna, poważna, rzewna usypia rozum i krytycyzm, a serce czuje niepokój. Klęczenie zniża, korzy nasz duch, jesteśmy na kolanach mali, niezdolni do protestu ani rozumowania. Jesteśmy pod wpływem chwili, wierzymy ślepo, zabobonnie. Wiara rozumnie kierowana, może być hamulcem. Wierząc, że gdy zapalę papierosa, będę miał przykrość (zły stopień) wystrzegalem się tego, a choćby kilka chwil wiary bezgranicznej są ważne. Sformułowałbym to tak: każdy człowiek powinien mieć chwile buntu przeciw pętom wiary, chwile rozrzewnienia, chwile ekstazy i zupełną niezależność naukowego myślenia (astronomia, Kopernik, Darwin<sup>134</sup> — temat do pracy naukowej).

<sup>133</sup>*Echo kołyski* — wiersz Adama Asnyka z 1868 r. mówiący o miłości macierzyńskiej i trudzie dorastania. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*Darwin, Charles Robert* (1809–1882) — angielski przyrodnik, twórca teorii ewolucji biologicznej, zwanej darwinizmem, która tłumaczy przemiany ewolucyjne regulowane doborem naturalnym i walką o byt. Autor książek: *Podróż na okręcie „Beagle”* (1839), *O powstawaniu gatunków* (1859), *O pochodzeniu człowieka i o doborze płciowym* (1871). [przypis edytorski]

Potem poszedłem do Łazienek do pomnika Jana Sobieskiego<sup>135</sup>. Jak wiele, wiele mówi ta dumna postać na pięknym rumaku. Gdzie ludzka wdzięczność, gdzie pamięć o krwi, którą płaciliśmy dań światu w walce krzyża z półksiężycem? Nie ma wdzięczności, tylko interes i egoizm, równie w życiu pojedynczych ludzi jak narodów. Gdyby oni umieli czytać w tym dumnym obliczu króla, z jakim spokojem i pogardą i niemym wyrzutem patrzył na staw ku pałacowi, to by ten pomnik usunęli. A ten łańcuch żelazny, który opasa pomnik, czy to nie symbol. I smutnie powiewa stary jesion i nie śmie gałązka musnąć dumnej postaci tego, który nie znał niewoli.

A co niewola, nie wie Sparta wcale,  
Bo niewolników jej córki nie rodzą.

*Tyrteusz*<sup>136</sup>

Marzyłem o pieszej wycieczce przez Częstochowę na Wawel. Jeszcze się rok szkolny nie zaczął, a ja już marzę o wakacjach. Ubiegłe wakacje stanowczo mnie zawiodły. Jedna nowela napisana — to całe żniwo.

*16 sierpień*

Gimnazjum, belferka, lekcje — jednym słowem kierat szkolny. Brak czasu do pisanie. Do matematyki i klas. gospodarza mamy bardzo porządnego człowieka. Stacho zdał poprawkę, siedzimy razem. Książki nowe, niemiłe. Strzygłem się; jaki byłem ładny w lustrze, napisałem wiersz do swego odbicia w lustrze. Boję się tych drobnych licznych przykrości, których szkoła nie szczędzi, choć może tak lepiej dla mego znużonego umysłu. Powoli zamienię się w maszynę, drobiazgi zaprzną mój umysł, myśli przyjmą mniej gorączkowy kierunek. Zosia już skończyła, panna na wydaniu, czy jedzie na uniwersytet?

Mod. mnie przeraża, jaki on zimny, bezwzględny. Można go śmiało postawić w rzędzie natur zagadkowych. Czy rzeczywiście zależy mu na tym, abyśmy znali grecki? Ja go znać będę, bo kocham Sofoklesa (Antygona), ale po co to innym?

Robię studia nad mymi „chlebodawcami”.

1. On intelig., ona zajęta kurzem i jajkami. Jaki może być łącznik między nimi? Ona nie jest powiernicą jego myśli, nie jest żoną jego uczuć i przeżyć, gospodyni — nie więcej. O jak bezbarwne życie takiego człowieka, który nie ma się przed kim wynurzyć w chwilach zapału ani poskarżyć w chwilach smutku. Ci ludzie związani dożgonnym węzłem obowiązku idą obok siebie, ale nie razem.

Małec dość tępy.

NB. Gdyby kobieta umiała być przyjaciółką męża, nie szukałby rozrywek w gronie kobiet, które mu szampanem zagłuszają myśl: „nie ma szczęścia”. Sam człowiek winien, że miast uśmiechu, na ustach gorycz gości. I z gorączką wychylają czarę rozkoszy zapiekłymi wargi. Dajcie złudzenie, dajcie zapomnienie — wołają. Ogarnia ich szal, upojenie chwilowe. I spadają w przepaść, straszną otchłań, ciemną próżnię zwątpienia i szalu, a potem bladość, wynędzniali i bezsilni, brocząc w błocie i kale, wołają poniewczasie: „Gdzie szczęście?”

O P. napiszę innym razem.

Czuję wielką potrzebę snu, może to echo snu zimowego niedźwiedzi. Marzę teraz o cichym szczęściu bez burz oklasków i sławy. Żona, dzieci. Widziałem Maniusię, jak ona urosła przez te cztery miesiące, śliczny wstępniaczek, marzy, aby być dyżurną, zrywa się przed szóstą, bo się spóźni. Słodka dziecina. Urośnie pod moim okiem, zmężnieje i... stracę ją z oczu...

<sup>135</sup>Jan III Sobieski (1629–1696) — król Polski od 1674. Brał udział w zwalczaniu powstania Chmielnickiego w 1648, w walkach z Tatarami, Szwecją, Moskwą i Turcją. Poprzez ślub z Marią Kazimierą zbliżył się do dworu. Po śmierci Michała Korybuta Wiśniowieckiego został wybrany na króla Polski. Rozbił wojska tureckie w bitwie pod Wiedniem. Wybitny wódz i mecenas sztuki. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>Tyrteusz a. Tyrtajos — żyjący w VII w. p.n.e. poeta grecki, jego poezje zagrzewały Spartan do walki; od jego imienia wywodzi się nazwa poezji tyrtejskiej, czyli poezji patriotycznej wzywającej do walki, oraz określenie: postawa tyrtejska, oznaczające gotowość oddania życia za ojczyznę. [przypis edytorski]

20 sierpień

Nawet kuriera nie czytam, nie marzę. Mam nawet nowy temat o Paryżu i suchotnicy, którą się opiekuję: ale nie ma ani wypukłości, ani barwności. Czyżby starość? Zaczynam wierzyć, iż gdyby nie pociąg płciowy, nie byłoby ani miłości, ani poezji, a przecież tak się przeciw tej myśli buntowałem.

10 październik

Spać, spać, spać!

Tyle marnuje się obserwacji, tyle cennego materiału.

Wieczorem zacząłem myśleć o przeszłości i rozplakałem się, płakałem z żalu po... młodości.

Stałem w otwartym oknie, musiałem cofnąć się, żeby nie wyskoczyć.

Prawdziwie nigdy nie cierpię, wszystko rozplywa się w jakiejś poetycznej tęsknocie i żalu.

Pragnę kochać.

*On n'est jamais si heureux...*

Uczę się źle.

Spać — to moja dewiza.

Wegetuję.

A wszak to ja, nie kto inny, umiałem siedzieć nad książką do 1, 2 w nocy.

Łzy...

Kiedy leżę w łóżku, zdaje mi się, że jestem kotem małym w mufce futrzanej.

*On n'est jamais si heureux...*

Dręczy mnie myśl, że u P. są ze mnie niezadowoleni, ale krępują się mi wymówić.

Boję się ludzi.

*On n'est jamais...*

Miłość zapomniana, marzenia znikły.

Co mnie czeka za lat 10, 20, 30?

„Smutno mi Boże”<sup>137</sup>.

Tęsknię do Bożego Narodzenia!

$\frac{1}{2}$  paźdz., listopad,  $\frac{1}{2}$  grudnia.

0,5 ”, ”, 0,5 ”

2 miesiące.

17 październik

Smutno, smutno, strasznie smutno żyć na świecie. Pustka i bezcelowość. Sam, sam, zawsze sam.

Pannie Julii zwierzyłem się z mego stanu i teraz gorzko żałuję. Powiedziała, że to minie, a żegnając się, powiedziała z uśmiechem:

— Bywaj zdrów, starcze.

Więc i ona ma tylko kpiny dla mnie — ona?

1 stycznia

Święta mnie pokrzepiły na umyśle i duchu. Postanawiając wznović pamiętnik, muszę zadać pytanie, czy piszę dla siebie, czy — cha, cha? — dla świata. Piszę go dla siebie, inaczej musiałbym wiele zmienić i o wielu rzeczach zamilczeć.

Otóż po senności, już nie pamiętam, czy nagle, znów przyszła namiętność. Warunki moje się pogorszyły, bo znużenie trwało jeszcze, jakby natura chciała uspić czujność wroga, to jest moją, aby od razu powalić. Piszę o tym tak spokojnie i logicznie, bo pamiętnik mój ma znaczenie psychologiczne, i nie miejsce tu na egzaltację i wykrzykniki. Kiedy koń ponosi, nie czas bawić się w poezje, a kiedy wróg „pod samym miastem zatknął

<sup>137</sup> „Smutno mi Boże” — Juliusz Słowacki, *Hymn o zachodzie słońca na morzu*. [przypis edytorski]

sztandary”<sup>138</sup> i uderza do szturm, trzeba obliczyć szanse *pro* i *contra*. Bor. rozwiązuje tę sprawę dość prosto: „masz tremę”. Jest to wzięte z gwary aktorskiej, a życie to nie deski teatralne. Z Franią zaszło bardzo daleko, nie przeczuwa, że pozostaje jej tylko jedna droga: jak najspieszniejsza ucieczka z tego domu, gdzie czeka ją hańba i zguba. Tak dalece nie jestem już panem swych czynów.

Jedna miłość mogłaby mnie jeszcze zatrzymać nad brzegiem przepaści.

2 stycznia

Dostałem list od p. Julii. O, jak mi drogi, jak kotwica dla okrętu w godzinie burzy.

„Jak Panu tam idzie z lekcjami, ciszą i spoczynkiem, którego tak łaknie sterana twa dusza, młodzieńcze! — Rzuć te idee, rozejrzyj się po świecie, po sobie samym. Jesteś młody, zdrowy, zdolny, dobry. Zużyj te siły, które tęsknią w każdym nerwie Twego organizmu, a nie imaj się pracy nad siłą i wiek, bo jak mówi Sienkiewicz »myśl uleci jak ptak, a siły pójdą na marne«”.

Gdybym taką kobietę miał blisko siebie, byłbym bezpieczny.

O Boże. Wierzę: nie mam sił ani mocy, aby rozumować. Wierzę. Nie chcę wnikać w istotę tej wiary. Wierzę. Niech każda myśl krytyczna opuści mnie. Wierzę. Chcę być sługą i niewolnikiem Twym, chcę być prochem i pyłem. Wierzę. Wierzę, że będziesz mnie bronił, o Boże. Sam nie chcę walczyć, bom drobny i słaby. Ty mnie obronisz. Wierzę.

Ale pamiętaj, o Boże! Jeśli mnie opuścisz, sam stanę do walki na śmierć i życie, ale już nie bez Ciebie, jeno wbrew Tobie. Nie grożę, bom zbyt nikły i drobny. Grozi mój ból, który jest wielki i równy Tobie. Jeśli on przemówi, piekło zblednie a niebo zadrzży w posadach.

(Głupia, egzaltowana, bluźniercza modlitwa, ale jestem tak znużony. Idę spać).

20 stycznia

Zmysły śpią, ale stoją czaty. Nie podejźcie mnie wróg, bo czujnej straży wydałem hasło: „ideal”. Na pierwszy odgłos pobudki zrywam się, wdziewam pancierz, chwytam miecz i spotykam wroga z podniesionym czołem. Pod moim orlim wzrokiem tchórzliwie opuszcza głowę.

— Zbliź się. Zmierzymy się.

On się cofa.

Czuwam...

\*

Rozumiem już mój stan terazniejszy. Nadchodzi pragnienie czystej miłości. Dawna miłość zapomniana, więc szukam ideału, a znaleźć go nie mogąc, codziennie kocham inną lub inne. Tęsknota zastąpiła mi miłość. Tęsknota rodzi miłość, a miłość tęsknotę, między tymi uczuciami istnieje bliska łączność. (Temat do studium).

Drogę do szkoły mam przyjemną pełną oczekiwania i wzruszeń. Kocham dziesiątki najodrobniejszych typów.

Spotykam córkę pułkownika, Rosjankę Mor. Imponuje mi jej postawa, chód elastyczny i mocny, energia rysów, śmiało zarysowane brwi.

Widuję drugą: dziewczeczka nieśmiała, niska, w żalobie, z tak łagodnym, dobrotliwym wyrazem twarzy i smutnymi oczami.

Pierwszej ślę spojrzenie życzliwe, ale harde, drugiej — tkliwe i rzewne.

Widuję trzecią: wesoła, brwi filuternie wzniesione w górę, wieczny uśmiech i wyzywające spojrzenie, na które odpowiadam spojrzeniem zaczepnym i koleżeńsko-wesołym. Hajduczek-Baska<sup>139</sup>.

<sup>138</sup> „pod samym miastem zatknął sztandary” — z ballady o Alpuharze w *Konradzie Wallenrodzie* Mickiewicza. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *Hajduczek-Baska* — chodzi o postać z powieści *Pan Wołodyjowski* Henryka Sienkiewicza, ukochaną żonę głównego bohatera, energiczną i zadziorną. *Hajduczek*, zdr. od hajduk: potocznie nazywano tak piechurów w nadwornych wojskach polskich magnatów. [przypis edytorski]

Widuję kuzynkę Władka. Ten czysty profil i wieczny grymas niezadowolenia i jakby znudzenia na prawie dziecinnej twarzyczce.

Dalej (ta teraz najbardziej zajęła moją wyobraźnię) — Żydówka, córka południa i wschodu. Mierzymy się wzrokiem, w którym przyciągają się dwa odmienne światy i dwie rasy, dalekie wiarą i historią, a bliskie prawami natury. Te oczy czarne, ciemne, płonące ogniem nieznanym. Ta dojrzewająca *Venus*<sup>140</sup> w pierwszej myśli lubieżnej. Te rzęsy, którymi przysłania czarne ócz<sup>141</sup> gwiazdy. O, gdy ona pokocha, pędzi na oślep, nie bacząc pod stopy, nie oderwie gorejących warg od ust tego, którego pokochała. Ja, zimny północny Słowianin, i ona, Róża szkarłatna w objęciach złotych promieni słońca. (Muszę poddać rewizji mój stosunek do Żydów, tego narodu-Sfinksa, zagadki). Ona marzy i ma godność, więc jak musi cierpieć, z jaką radością wysłuchałaby głosu pojednania, który by jej rzekł: „Siostró”.

Te moje ideały mają po lat 15–16. Ale są i starsze (p. Julia, pani P. — ta piękna i zawsze smutna żona męża, który nie jest bez grzechu). Są i młodsze: dwie mile jaskółki na korce, ta mała w płaszczyku w kraty, która się do mnie uśmiecha i pokazuje w uśmiechu ząbków perełki (czy to możliwe, żeby taki bąk znał już grę kokieterii). Madem. Jeanne przebaczyłem, może zbyt surowo ją sądziłem, może francuskie wychowanie pozwala na to, żeby przy mężczyźnie (toć jestem nim) wysypywać piasek z pantofli, poprawiać pończochę, opowiadać, że ją ktoś podpatrywał w koszuli i zapytywać naiwnie, co bym zrobił, gdybym z nią s. w jednym ł.

Kiedy dziś na chłodno myślę o moim stosunku z Satanellą (dałem słowo honoru, że imię jej więcej się w pamiętniku nie powtórzy — dziecinada) — widzę, że to, że mnie zraniła, było rzeczą przypadku. Czyż dziw, że podlotkowi imponował student? Myślała, że zgodzę się ustąpić pierwsze miejsce starszemu, a sam będę się kontentował drugim. Nie wiedziała, że tylko w tramwaju ustępuje się je starszym, a nie w miłości.

Ale do rzeczy:

Między mymi „ideałami” są nie tylko przedstawiciele płci odmiennej, a to najlepszy dowód, że nie wchodzi tu w grę żądza, ale bardziej szlachetne uczucie.

1. Nasz naucz. Mod. Obserwowałem go długo, bo 6 kwartałów. Jest to męczennik niewdzięcznej idei, greckiego języka. Pod tym wypukłym czołem, pod kasztanowymi włosami, ile myśli się kryje i ile zapału przebija przez te trupio blade policzki. Ten fanatyk Homera, gdy widzi zupełny brak zapału w klasie, gdzie chce budzić myśl śpiącą, widzi bezowocnymi swe trudy i cierpi. I za to go szanuję, jak szanuję Dostojewskiego<sup>142</sup> wbrew patriotycznym receptom i formułkom.

2. Stacho. Jak nazwać to uczucie, jakie dla niego żywię. Nie jest to przyjaźń, gdyż przyjaźń to wyznania, a on by mnie nie zrozumiał (i to mnie na pewien czas zniechęciło). Tak, to miłość. Trzymanie jego ręki sprawia mi przyjemność, a on to wie i odczuwa. Gdy chodzimy w pauzę, obejmuję go i gadamy o niczym. To nie przyjaźń, ale miłość taka, jaką czuć można tylko dla dziewcząt. Bo też ile delikatności dziewczęcej w jego postaci, jego łagodnej twarzy i ruchach. Ma wadę serca. Klasa, nawet niektórzy nauczyciele (matematyk) nazywają go Anielcią. Widocznie miłość do tej samej płci spotyka się nie tylko u dziewcząt.

I jeszcze jedno:

Węglarz niósł na plecach kosz z węglami. Jeden węgiel mu wypadł. Podniosłem i po dałem. Powiedział „dziękuję” takim łzawym głosem, że kamień by zapłakał. Z jaką rozkoszą pochwyciłbym tę biedną, czarną od węgla, spracowaną rękę i przycisnąłbym do ust, z jaką rozkoszą złożyłbym głowę na jego spoconej, nigdy niemytej i porośniętej włosami piersi i płakał nad jego dolą jak ten węgiel czarną i jak jego: „dziękuję” smutną, i jak przysługa, którą mu wyświadczyłem, drobną.

Zaiste jak są różne spojrzenia: obojętne, przelotne, dyskretne, miłosne, ciekawe, ironiczne, dobrotliwe, zaczepne (ta mała), wstydlive, odpychające, marzące, litosne itd. —

<sup>140</sup>*Venus* (mit. rzym.) — bogini miłości i piękna. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*ócz* (daw.) — dziś popr. forma D. l.mn: oczu. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>*Dostojewski, Fiodor Michajłowicz* (1821–1881) — rosyjski powieściopisarz, uznany za mistrza realistycznej i psychologicznej prozy. Dzieła: *Zbrodnia i kara* (1866), *Idiota* (1868), *Biesy* (1871–72), *Bracia Karamazow* (1879–80). [przypis edytorski]

tak są i różne pocałunki: od najczystszych jak tchnienie motyla do gorących jak wulkan, od godnych anioła do — szatana. (Spojrzenia i pocałunki — temat do studium).

Teraz przyszło mi na myśl, że wszak Wedeking<sup>143</sup> dowiódł w przebudzeniu się wiosny wyższości uświadomienia w wychowaniu. Ponieważ i ja, i madem. Janina byliśmy uświadomieni, mogliśmy bez obawy ślizgać się nad zawrotną głębiną „pieśni bez słów”.

Dziesięć stron zapisałem bez znużenia, a za ostatnie wypracowanie polskie dostałem trzy, chociaż bez zarzutu, bo krótkie.

Więc moja senność i starcze niedołęstwo minęły, czy pod wpływem listu p. Julii? Czy aż taką jest potęga autosugestii?

23 styczeń

Czytam mowy Cyncerona<sup>144</sup> i Demostenesa, podziwiam strukturę, korzę się przed logiką rozumowania i zachwyam językiem. Ale ja inaczej przemawiałbym, gdybym widział ojczyznę w niebezpieczeństwie albo bronił człowieka przed śmiercią. W ogóle sądownictwo winno być zreformowane. Przed sędziami-poetami winien stać obrońca-marzyciel, a nie zimny, chłodny formalista przed urzędnikami. Sercem należy bronić, a nie paragrafami, na zasadach etyki karać, a nie kodeksu. Dziś okoliczności łagodzą winę, a one powinny zupełnie ją usunąć. Nie wolno karać ojca, że kradnie dla dzieci lub zabija tego, kto nastaje na cześć córki, albo broni swego honoru. Uderzenie w twarz to tylko zakłócenie publicznego spokoju, więc kara 3–5 rubli, a moim zdaniem to zabójstwo, za które karą kula w łeb. Chłopi płacą raty, a nie biorą kwitów, i wśród zimy wyrzuca się na śnieg 30 rodzin, bo nie ma na potwierdzenie papierków. Kto kłamie? — pytam się: chłopiek nabożny, pracowity, nieśmiały czy bezczelny i bezbożny spekulant, czyja przysięga winna zaważyć na szali?

A medycyna, która bogacza dla kaprysu wysyła na południe, a nędzarza „leczy” w suterynie pigułkami, choć miesiąc słońca powróci mu życie, da rodzinie pracownika, a dzieciom nie da wyrosnąć na prostytutki i złodziei? Jak sąd śmie karać te ofiary nędzy i ciemnoty?

Zdawało mi się niedawno, że te dziewczyny (?), które tak nisko upadły, nie zasługują nawet na litość. Kraść, zabijać nawet, ale nie za pieniądze kupczyć uściskiem. Wszystkie zbrodnie ludzkie zna świat zwierzęcy i roślinny w imię walki o byt, dąb kradnie światło krzewinie, chwast zagusza (zabija) kwiaty. Tylko ta zbrodnia jest udziałem człowieka, ba — kobiety! Ta plama przygniata cały ród kobiecy. Hańba, hańba — najokrutniejszy wyraz ludzkiego słownika — gorszy od niewoli.

Zreformować świat to znaczy zreformować wychowanie...

Zaczepił mnie jakiś człowiek, piłę miał przewieszoną przez ramię.

— Czy pan nie wie o jakiej pracy?

Dałem mu czterdzieści dwa grosze.

— Niech się pan mnie nie brzydzi — powiedział, chciał pocałować w rękę, błogosławił.

Prosił o pracę, dałem mu jałmużnę. Uciekałem jak z miejsca zbrodni. Ile ja niepotrzebnie wyrzuciłem pieniędzy. Póki istnieje nędza, nie mam prawa wydawać dla siebie. O nich muszę i powinienem myśleć przede wszystkim.

Ha, ja mam myśleć o tych, o których Bóg nie myśli. A czy choroby dziedziczne nie są krwawym świadectwem przeciw Niemu?

Mod. mówił o szkołach filozoficznych w Grecji. Szkoła cyników została zupełnie spaczona. Czy i soc. ulegnie temu losowi, jak przepowiadają niektórzy — czy rzeczywiście „świat jest przemianą zła wieczyście trwałą”, jak mówi Tetmajer, czy też pnać się „naprzód i wyżej, przez szereg istnień padających marnie” — dążyć do ideału, jak twierdzi Asnyk?

26 styczeń

<sup>143</sup>Wedeking, Frank (1864–1918) — niemiecki dramaturg i poeta, uznany za prekursora ekspresjonizmu, który łączył z realizmem krytycznym; najbardziej popularna sztuka o satyrycznym zabarwieniu to *Przebudzenie wiosny* z 1891 roku. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>Cynceron — Marcus Tullius Cicero (106–43 p.n.e.), najwybitniejszy mówca rzymski, filozof, polityk, pisarz. [przypis edytorski]



Już od dwóch dni jest mi dobrze. Doznaję jednak takiego uczucia, jakie mają ludzie bezgranicznie szczęśliwi: strachu, aby kto nie przerwał brutalnie tej ciszy, tego półmroku myśli i uczuć.

Czytałem po francusku *W kraju futer*<sup>145</sup> Verne'a<sup>146</sup> i marzyłem, że tam jestem, pod biegunem.

Po dniu uciążliwego pochodu leżę pod ciepłą derą. Budzą mnie.

— Wstawaj pan. Białe niedźwiedzie.

— Czy to raz pierwszy; jest też o co piekło robić?

— Ależ jesteśmy zgubieni.

— Bezpowrotnie?

— Tak jest, nie ma ratunku.

— Więc po coście mnie budzili? Może mam w galowym ubraniu stawić się na śniadanie panom niedźwiedziom?

— Powtarzam: niebezpieczeństwo, twoja zimna krew jest potrzebna.

Ubieram się.

— Więc to nazywacie niebezpieczeństwem? Że niedźwiedzina leży, drżąc ze strachu?

— Ale drzwi nie ma, może wejść.

— Może, ale nie wchodzi.

— Jest ich piętnaście.

— Zrobię drzwi z pierwszego.

Strzelam w powietrze.

— Szaleńcze, zgubiłeś nas — mówią.

Olbrzymi niedźwiedź idzie ku nam; w momencie, kiedy swym olbrzymim cielskiem zawalił wejście, pakuję mu kulę w oko.

— Oto mamy drzwi tym lepsze, że w przyszłości posłużą nam za śniadanie.

Dziecinne marzenia, tym lepiej.

\*

Widziałem pogrzeb wojskowy. Cudny marsz żałobny, żołnierze i koń w żałobie, który smutny, z łbem spuszczoneym, powoli odprowadza swego pana na miejsce wiecznego spoczynku. Łzy miałem w oczach.

\*

Widziałem grających w karty. Policzki z niezdrowym rumieńcem, spokój udawany i ta głucha niechęć, przebijająca niby w żartach, a właściwie w docinkach — jakie to wstrętne.

\*

Przypomniałem sobie, że kiedyś, kiedy była u nas Zosia, do nogi od krzesła, na którym siedziała, przywiązałem nitkę, aby się nie pomieszało z innymi. Jaki ja byłem wtedy biedny. O, nie śmieście się z tych uczuć dziecinnych. Miłość jest zbyt szlachetnym uczuciem, by mogła być ośmieszona, zabawnymi są natomiast: pozowanie, sztuczna galanteria sztubacka, asystowanie pannom, małpowanie dorosłych, opowiadanie kolegom o swoich rzekomych romansach nawet z mężatkami — łgarstwa, komedianctwo.

Ja sam przyłapuję się na tych rzeczach, na przykład raz wyskoczyłem z tramwaju, choć deszcz lał, żeby niby to „szybkim ruchem uspokoić wzburzone nerwy i aby deszcz ochłodził palące czoło”. Deszcz czoła nie ochłodził, bo mam czapkę z daszkiem, zabłociłem się po pas, co mnie bardziej jeszcze zirytowało i przyłapałem się na małpowaniu romansowych bohaterów, co mnie do reszty struło.

<sup>145</sup>*W kraju futer* — powieść Juliusza Gabriela Verne'a (1828–1905) *Le Pays des fourrures* z 1873 r. W Polsce znana pod dwoma tytułami: *W krainie białych niedźwiedzi*, tłum. Karolina Bobrowska, 1925 r., *Wyspa błędzka*, tłum. Elwira Korotyńska, 1931 r. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>Verne, Juliusz Gabriel (1828–1905) — francuski pisarz, dramaturg i działacz społeczny, uważany za jednego z prekursorów fantastyki naukowej. [przypis edytorski]

\*

Spotkałem Romana po pięciu latach niewidzenia. Mówiliśmy parę minut, a więcej patrzyliśmy na siebie, bo nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Pięć lat tylko, a co za zmiana.

Temat do sztuki dramat pod tyt. *Trzy fazy*.

Akt 1. On, zakochany zapaleniec, nie widzi w niej braków, nie myśli, iż miłość przejdzie, a potem będzie czegoś więcej żądał od żony.

Akt 2. Widzi, że się pomylił. Ale musi zrobić ze siebie ofiarę... „dla dobra dzieci” (może ten tytuł lepszy?).

Akt 3. W 20 lat po ślubie — oni starzy, a dzieci to samo przechodzą. Ich myśli.

Oto szkielet utworu.

Jak dziwnie wcale nie myślę o sławie.

\*

Życie składa się z tylu drobiazków, że nie sposób pamiętać.

Pani P. płacąc mi za miesiąc, rozmawiała ze mną. Rozumna i miła, a tak się czasem zimna wydaje. Powiedziała, że lepiej, że ludzie się maskują, bo inaczej wyszłaby na jaw brutalność natury ludzkiej (może męża miała na myśli?), że maskowanie się dowodzi dążenia do czegoś lepszego (czy zawsze). Na pożegnanie podała mi rękę, którą pocałowałem. Wyszędłem i zdawało mi się, że ją obraziłem, że może należało jakoś inaczej, chłodniej pocałować. Była to myśl przelotna i niedorzeczna, a jednak tydzień cały (z pauzami) dręczyłem się tym.

29 styczeń

Muszę pisać.

Ach, co ja czuję, co ja cierpię. Jestem znów sam w domu z Franią. Nie mam sił, żeby uciec. Namiętność owładnęła mną zupełnie. Czuję ją w każdym nerwie. Czuję ją wszędzie, a najbardziej w piersiach. Straszna pustka aż do bólu i płomieni. Oddechu nie mogę pochwycić, serce wali jak młotem, po całym ciele jakieś niezdrowe ciepło, gorączka.

Kiedy nas widzicie uśmiechniętych i rozbawionych na ulicy lub w towarz., powiadacie: — Szczęśliwa młodość.

Ale spójrzcie w serce, co tam za burza szaleje, co tam za orkan. Widzicie nasz śmiech, słyszycie nasze żarty, nie widzicie łez, nie słyszycie jęku. Znacnie nasze dumne marzenia, ale nie znacnie tego pożądania spokoju, którego nie zna nasz wiek. Jeśli przychodzi cisza, to nie jest dobrotliwa cisza letniego dnia, ale cisza, która nagle zalega morze, przed pierwszym piorunem. Morze ciche, ale kapitan drży, bo widzi niebieskie chmury, które przewalają się po niebie. — Poskramiamy dziką bestię, ale z jakim wysiłkiem.

— Proch i ogień.

Jeżeli ta biedna dziewczyna, która tam siedzi w kuchni i nic nie przeczuwając, może ceruje moją bieliznę, ma być prochem — niech wie, że ja czuwam — ja ogień. Ten ojciec jej, który może poprawia teraz pług do wiosennych zasiewów, i matka, która tęskni za nią, mogą być spokojni: nie zhańbię im córki. Ta nędza, która wygnała ją z ojcowej izby do miasta, do cudzych, do obcych, jest łańcuchem, na którym teraz miotam się w samczej wściekłości.

Boże, oto idziesz mi na pomoc. Nie wzywałem Cię, a wiem, że już dążysz. O, tego Ci nie zapomnę, Nie śpiesz się, już przeszło. Zamknę drzwi na klucz, uklęknę, biały anioł modlitwy skrzydłem swym mnie okryje, utuli.

W godzinę później:

Mam uczucie, że umyślnie przesadziłem i niebezpieczeństwo, i walkę z nim. Dziwny wiek, w którym dojrzałe myśli poplątane z dziecinnymi, a zupełnie uczciwe uczucia ubrane w obrzydliwą przesadę, wstrętą egzaltację i ohydłą komedię.

Czego to nie ma w tych kilku wierszach: morze, bestia, jęk, proch, piorun. Tyle hałasu niepotrzebnego, a w rezultacie pewnie będę miał polucję, bo już jej blisko dwa tygodnie nie miałem.

Nie napisałem w dodatku i połowy tego, co mi się po głupim łbie kotłowało, widocznie sam już uważałem, że za wiele tego dobrego. Więc był tam i obłąd z nieodzownymi kratami, i jęk mego dziecka, które mnie przeklina, i społeczeństwa, które mnie na sąd wzywa. Myślałby kto, że nowy potop. A tymczasem wszystko to można zamknąć w jednym zdaniu:

— Sztubak nie zrobił świństwa.

Ma słusność panna Julia: jestem dziewczką, pieszczotką marzeń, a nie mężczyzną.

Spalę do diabła ten błazeński pamiętnik, bo wpadnie jeszcze w czyje ręce.

Tak by dobrze było, gdyby mnie kto wytargał za uszy, wymyślał od smarkaczy i zaszłał do geometrii, bo ten wulkan, ogień, kapitan okrętu i wódz może nie dostać promocji.

\*

Znów przesada. Pamiętnika nie spalę, wiem o tym doskonale, a gdybym spalił, wypełniłbym kapitalne głupstwo.

2. Jeżeli nawet jest przesada w tym, co pisałem, jest to jednak wewnętrzne przeżycie, za które nie ma racji targać za uszy.

3. Nie jestem ani błaznem, ani smarkaczem, tylko bardzo inteligentnym młodzieńcem (w porównaniu z kolegami), trochę spaczonym przez brak pedagogicznego kierunku.

Z ostateczności w ostateczność, brak równowagi — to cecha mego wieku.

Słuszne natomiast jest, że trzeba się wziąć do nauki szkolnej, bo sam pan korepetytor może nie dostać promy, i będzie wstyd.

Pójdę do doktora, może uzna że przy moim temperamencie naprawdę już czas, jak twierdzi wielu kolegów (M. P. L. B. ), że moja trema nie ma racji, bo bądź co bądź czuję się źle.

— Wstyd mi?

— Czego?

— Wyśmiejcie?

— Dowiedzie tym, że chociaż doktor, ale głupi: Pójdę do Ż.

z luty

Skazano — sdielano<sup>147</sup>.

Byłem u doktora i... wierzę mu.

Polucje nawet b. częste, nawet ze snami erotycznymi, nie są chorobą, nawet nie cierpieniem, tylko niedomaganiem. Należy się wystrzegać wszystkiego, co podnieca, więc alkoholu, nikotyny (papierosy) i marzeń, 80% prostytutek jest zarażonych. Płuca i serce mam zupełnie zdrowe. Wolę należy ćwiczyć i nie tragizować, gdy zawodzi. Napoleon, który świat cały zwyciężał, nie umiał nad sobą panować. Każde drobne zwycięstwo ułatwia większe, bo w mózgu wyźlbia się droga. Aby telefonować, trzeba założyć druty (to mu się mniej udało, bo jest telegraf bez drutu).

Pieniędzy nie wziął, powiedział, że oddam, jak dorosnę. Kazał przynieść pamiętnik. Chciałbym zanieść: może powiedziałby, że widać z nich, że mam talent. Choć znów za parę życzliwych wyrazów oddać obcemu całą duszę, cały świat cierpień, bólów, marzeń i tęsknot. Gdyby ściśle określił termin: za tydzień, za dwa tygodnie, nie oparłbym się. Wstyd mi przyznać się, ale się zawiodłem. Miałem wrażenie, że się śpieszy, że nie ma czasu. Wiem, że jestem niesprawiedliwy, wymagający, niewdzięczny, a jednak... Dla mnie to była epoka, dla niego epizod. Dwa razy przerwał nam telefon, to znów go wywołano. Może wzywano go do konającego, gdy ja jestem zdrowy. Egoizm ludzki nie zna granic: niczym go nie nasycisz.

Może na takie uczuciowe zabarwienie tej wizyty wpłynęło i to, że mam przykrości w domu i na lekcjach.

<sup>147</sup>Skazano, sdielano (ros. przysł.) — powiedziano, zrobiono. [przypis edytorski]

Precz z pogrzebowym marszem na strunach Bajronowskiej liry<sup>148</sup>.

Po co napisałem to zdanie? Bo mi się wydawało ładne. Muszę zwalczyć w sobie przede wszystkim tę pozę, tę komedię, która mnie do rozpaczki doprowadza.

Na lekcji udaję roztargnionego, to znów przyciskam skronie, chociaż głowa rzadziej mnie teraz boli. Staram się być zaniedbany w ubraniu, to znów chciałbym mieć białe rękawiczki, to być pochylony, zgarbiony, to znów prosty i zwinny (podobno oficerowie noszą gorsety?).

Więc walka:

1. lenistwu (matematyka).
2. pozowaniu.
3. marzeniom i w ogóle uczuciowości (nastrojom).
4. papierosom, piwu, musztardzie itd.

Pisząc: „więc walka” — o mało co nie dodałem: „na śmierć i życie”. Pierwsze zwycięstwo?

5 luty

Uczę się. Z algebry dostałem 4, pierwszy raz w życiu (z ustnego). To zagłębianie się w mistyczny świat cyfr sprawia mi zadowolenie.

Wymówili mi lekcję u R., bo nie jestem dość energiczny. I tak ich miałem za wiele jak na koniec trzeciego kwartału. Co ja bym dawniej na ten temat wypisał tragicznych okrzyków, a teraz ot wiem, że „energicznym i rutynowanym z gwarancją korepet.” nie będę nigdy — zanadto wiele mam uczucia dla dzieci, żeby je tyranizować. Dziecku tak mało potrzeba, aby się czuło szczęśliwe: pieczątką, pudełko, karmelek. Wyciskać łzy z tych niewinnych oczu dla piątek, dla śmiesznych tryumfów, dla dogodzenia próżności rodziców i zyskania sławy „rutynowanego”, to barbarzyństwo. Minimum wysiłku dla maksimum rezultatu; byle dostał promocję — trzymałem się tej zasady, jak do tej pory z dobrym efektem: rozwijałem ich, lubią mnie, a w rezultacie: cenzura<sup>149</sup> bez dwójki...

Marzenia to morfina duszy.

Czy mam prawo przynajmniej do gorących spojrzeń i czarownych uśmiechów, do tych niewinnych w gruncie rzeczy miłostek przelotnych? Mania D. z matką wdową i bratem suchotnikiem — miłość czy współczucie? Czy pozwolić wyobraźni na marzenie o leczeniu suchot. A jeśli „od łyeczka do rzemyczka”.

12 luty

Jakby na potwierdzenie tego, co mówił doktor, dowiedziałem się, że J. się zaraził. Straszne tam u nich piekło: a z tej racji mama zrobiła mi awanturę, że czytam książki. Gdzie tu logika? Bardzo szanuję Kazia, że modli się i nie czyta, ale Kazio to Kazio, a ja — to ja, i zdaje mi się, że gdyby nawet od książki można się było zarazić tryprem, to i tak byłoby już za późno, bo ja bez książki tak samo nie mogę żyć, jak bez chleba. Wbrew zwyczajowi odpowiadałem zupełnie spokojnie, nie uniosłem się, a rozumowałem, jakkolwiek rozmowy takie do przyjemnych nie należą. Kiedy mama powiedziała, że mój Pestalozzi i ta „cała zgraja Darwinów i Lassalów<sup>150</sup>” (groch z kapustą) to byli heretycy i rozpustnicy, odpowiedziałem tylko:

— Nie znoszę, jeżeli się mówi o rzeczach, o których się nie ma pojęcia.

Chociaż ja mam bezwzględna rację, pomimo to wieczorem rodziców (bo i ojcu się dostało przy okazji) przeproszę.

Miałem dwa razy pol., pierwszą ze snem (ślizgawka, pokój turecki), drugą bez.

Mam wściekły apetyt. Cały dzień tylko żarłbym chleb.

25 luty

<sup>148</sup>*Bajronowska lira* — twórczość podniosła, romantyczna, od nazwiska angielskiego poety romantycznego George'a Gordona Byrona (1788–1824). [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*cenzura* (daw.) — tu: świadectwo szkolne [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*Lassal* — chodzi o *Ferdinanda Lassalle'a* (1825–1864), niem. myśliciela, działacza socjalistycznego, rewolucjonistę. [przypis edytorski]

Okres senności po p.

Awantura z Franią, że prasując, spaliła koszulę. Czy mógłbym pozostać neutralnym, gdybym był jej kochankiem?

Lubię rysować, szczególnie pajęczynę: to życie ludzkie, poplątane jak labirynt.

Jak niezbadanymi są te zmiany w usposob. człowieka: dziś pełen wiary, nadziei, radości; jutro — zwątpiały, nie wierzy ani w swe siły, ani zdolności, ani szczęście.

Awantura z Mod., że za dużo zadaje. Poskarżyli się inspektorowi. Zadał to samo, co zwykle.

— Dużo, dużo — zaczęli krzyzczeć.

— Czego dużo? — zapytał błady.

— Słówek.

Dzwonek.

— Na jutro pierwsze trzy paragrafy z kursu trzeciej klasy. Ja z dziećmi *Odysei* czytać nie będę — powiedział i trzasnął, wychodząc, drzwiami.

Koledzy boją się, że będzie się mścił, myślę, że jest na to za dumny. Boli mnie, że zranili człowieka; jak to boli, gdy widzi się, że ludzie pomiatają ukochaną ideą.

25 luty

Zdaje się, że mała P. kocha się we mnie. Raz w czasie lekcji otworzyła drzwi, zajrzała, lecz uciekła. Widocznie wstydziła się poczęstować mnie czekoladkami, którymi potem w przedpokoju poczęstował mnie Oleś. Wczoraj znów weszła, dygnęła z gracją i poprosiła o zrobienie zadania. Było dość łatwe. Zaczerwieniłem się, zrobiłem, wytłumaczyłem, tak słodko patrzyła mi w oczy — i na „dziękuję” odpowiedziałem „proszę”. Tak mnie to zastało nieprzygotowanym, że dopiero na schodach przyszło mi na myśl, co powinien byłem powiedzieć:

— Ależ proszę, jeżeli będzie pani coś miała, proszę się do mnie udać, a z najszczerzą chęcią dopomogę.

Tak mnie zmieszał ten wdzięczny, pensjonarski dyg. Czegoś podobnego doznałem, kiedy w dzieciństwie powiedziano mi w sklepie: „pan”.

Jeżeli podejrzenia moje są prawdziwe, ona teraz przeżywa to, co ja już przeżyłem: na szczęście czy niestety?

Wieczorem płakałem, że nie ma jeszcze wiosny, kwiatów, zieleni.

II marzec

Prawie nowela.

Ostatnie zadanie przed kwartałem decyduje o stopniu na cenzurze. Przepisać nie można, bo Argusowe<sup>151</sup> oczy nauczyciela wszystko dojrzą. Samemu trzeba się błąkać w mistycznym świecie formuł i cyfr. Gorączka nie pozwala panować nad myślami, trzeźwo rozumować. A spokój potrzebny do zimnych cyfr. Jedna drobna wątpliwość pozbawia równowagi, traci się grunt pod nogami, bo tu jeden błąd pociąga za sobą cały zastęp błędów — jak w życiu. Ile razy za drobny błąd, zrobiony przez nieuwagę, dostało się dwa, iluż to ludzi takiej dwójce zawdzięcza złamane życie. Czy dziw więc, że głowa płonie, oddech grzęźnie w piersi, a serce trzepoce się jak gołąb w klatce? Jedno zadanie na tydzień często napęlnia trwogą dziesiątki młodzieży — o ironio — szczęśliwej młodzieży. W wilię mózg się wysiła, aby przeczuć, co będzie, co powtórzyć, co może się przydać. Zrobię czy nie zrobię? To pióro kreśli ratunek albo wyrok śmierci — własne pióro. Wyrok zbrodniarza podlega rewizji w senacie, a wyrok nauczyciela, zależny od sympatii lub odwrotnie, od przelotnej myśli, chwilowej fantazji, przypalonego obiadu — jest nieodwołalny.

Ostatnie zadanie. Nauczyciel zdwoił czujność. Po podyktowaniu tekstu — grób, cisza martwa. Kto podniesie głowę z nad zeszytu, ten spotka się z nieufnym a szyderczym wzrokiem nieubłaganego nauczyciela.

A za oknem wiosna stanowi kontrast taki. Myśl rwie się w pole, w las, skowyczy za kąpielą w słońcu. I tylko te szyby pełne pyłu dzielą płuca nasze od najwyższej rozkoszy oddychania powietrzem budzącej się wiosny.

<sup>151</sup>Argus (mit. gr.) — olbrzym o stu oczach. [przypis edytorski]

Przenoszę wzrok ku tym 36 uczniom — niemym i nieruchomym, których więżą przemocą, gdy oni rwą się do... wiosny, do której ma prawo zwierzę, ptak, robak lichy, a którą nam zagroziła potrójną kratą zabójcza cywilizacja.

Ci uczniowie, związani teraz w jedną nierozdzieloną całość wspólnego gwałtu, wspólnej niewoli-niedoli, czym będą za lat dziesięć, dwadzieścia?

To zadanie tkwić będzie, jak „cierń w krwawej nodze”, w ich nerwach przez całe życie, a może i w ich dzieciach. Ta godzina spędzona tu w dusznej izbie, a nie w kryształowym wnętrzu wiosennym, jak ananke<sup>152</sup> zawisnie na ich płucach.

Minuty biegną, praca wre coraz goręcej, pot rosi czoło. Ostatnie wysiłki strudzonej myśli. Ile w takich chwilach popelnia się błędów przez nieuwagę.

Nauczyciel chodzi spokojny, na chwilę nie spuszcza oka z klasy. Duma, poczucie obojętności, sprawiedliwości nie pozwalają, aby ktoś ściągnął... ostatnie zadanie.

Promień słońca skoczył filuternie do klasy, gdzie dojrzał młode twarze i zaczął uczenia. Uczeń zachnął się niecierpliwie i usunął na bok. Promień zdziwił się, posmutniał, może rozgniewał i już do końca życia może unikać będzie chłopca, który go odrzucił.

Biedne słońce, biedne dzieci.

Kto winien, że światło prawdy wypowiedziało bój zacięty światłu słońca?

Sekretarka powiedziała, że nie ma miejsca, że mają duży zapas nowel. Patrzała na mnie tak życzliwie, poczuwałam radziła się nie zrażać, bo „redaktor nawet tego prawie nie czytał, bo jest bardzo zajęty”. Ach wiem, im potrzebna firma, a nie dzieło sztuki, wreszcie redakcja ma „swoich”, którzy na obstalunek<sup>153</sup> zawsze napiszą to i tyle, ile potrzeba. Oczekiwanie mnie denerwowało, teraz już mi wszystko jedno.

I tak nie będę literatem, tylko lekarzem. Literatura to słowa, a medycyna to czyny.

#### 24 kwiecień

Wstałem rano, przed piątą jeszcze, i poszedłem w pole. Wzrok mój, krępowany murami przez dziesięć miesięcy, pożądał takiego widnokągu, gdzie by nic nie przeszkadzało biec w bezbrzeżną dal. I znalazł to, czego pożądał. Stałem w polu i objąłem przestrzeń, obramowaną ciemnym wałem lasów i stałem tak długo zapatrzony w ciszę, nieprzerwaną najcichszym szmerem.

Nie myślałem o niczym duch spoczywał, tylko głos serca szeptał: „cudnie — cudnie; ani jednego człowieka”.

Nagle myśl rzuciła pytanie:

— Hej, młodzieńcze, który kochasz ludzi i życie pragniesz nieść im w ofierze, czemu radujesz się, że ich nie widzisz?

Drgnąłem, zmieszalem się.

— Czemu w rzeczy samej, czemu?

A, odpowiadam.

Gdy idę przez las, pieśń drzew kołysze mnie na swych falach i szepce tak dobre słowa, że cisza przenika mą duszę znużoną. Las, drzewa, krzaki wraz ze mną snują złotą przędzę rojeń. Gdy idę przez pole, pieśń zboża, traw, kwiatów kołysze mnie na swych falach i szepce dobre słowa. Pola i łąki marzą wraz ze mną, wraz ze mną snują złotą przędzę rojeń.

Wołam: o ideale jasny.

Echo natury odpowiada: jasny.

Wołam: miłości święta.

Echo natury odpowiada: święta.

Wołam: przyjaźni czysta.

A echo mówi: czysta.

Natura rozmawia ze mną, nie przeczy; ja wierzę jej słowom.

A oto ludzie.

<sup>152</sup>Ananke (mit. gr.) — bogini przeznaczenia i nieuchronnego losu. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>obstalunek — zamówienie, zlecenie wykonania czegoś. [przypis edytorski]

Wołam: miłości bratnia.  
Echo świata odpowiada uśmiechem: nie ma jej, jest egoizm tylko.  
Wołam: ideale.  
A świat: nie ma, jest tylko tęsknota za nim.  
Wołam: o miłości.  
A świat: nie ma jej, są tylko żądze.  
Wołam: pocieszycielko nadziejo.  
A świat: matka głupich.  
Wołam: nie budźcie mnie, okrutni i bezlitośni.  
A świat: zbudź się, otwórz oczy.  
W imię czego budzicie mnie, bym cierpiał?  
— W imię prawdy.  
O, nie chcę waszej prawdy, bo mam własną, którą kocham, nie wydzierajcie mi jej.  
A teraz wiecie, dlaczego wolę słuchać głosu natury.  
Jeżeli taką jest twoja prawda, świecie, toś grzeszny, zły, skalany. Jeśli taką jest wasza  
prawda, ludzie, czemu zbieracie mi moją jasną, czystą, świętą.  
Więc chcesz, abym poszedł za twoją prawdę okrutną, o świecie? Nie, chodź raczej za  
moją prawdą  
„prawdą motyla”.

\*

Motyłem jestem. Motyl  
Upojony życiem, młodością, nie wiem jeszcze, dokąd się zwrócić, ale nie pójdę za  
wami.  
Nie pozwolę życiu zmiąć swych barwnych skrzydeł, nie pozwolę zniżyć swego lotu.  
Dawno już chciałem wypowiedzieć się przed wami, lecz bałem się, że nie zrozumiecie,  
wstydzę się, że wyśmiejecie.  
O biedni, jeśli nic wam nie powie ta spowiedź motyla.

\*

Jeśli wiara w tryumf dobra jest snem, chcę spać. Życie mnie budzi, więc uciekam do  
szumu drzew, do szeptu strumienia, do woni łąk, do szmeru zbóż — uciekam.  
Tu na łonie natury chcę odżyć, zrzucić pył miasta z marzeń moich.  
Chcę odzyskać wiarę zachwianą. Chcę, by natura była lekarstwem, a lekarzem — Bóg.  
Rano szkoła, potem korepetycje i lekcje, przeplatana jedzeniem, snem i... marzeniami.  
Marzenia uchroniły mnie od letargu, zawdzięczam im życie.  
Ale widziałem, jak opuszczają mnie jasne moje duchy, duchy mojego życia, które  
nazywam życiem motyla, a wy nazywacie życiem niedojrzałego młokosa. Nie możemy się  
zrozumieć, bo wy nazywacie życiem to, co ja nazywam śmiercią.

\*

Patrzyłem długo na mrowisko. Ile cnót mają te drobne istotki.  
O, jakież to bolesne, że człowiek który kocha ludzkość, pragnąłby cnotami zwierząt  
uszlachetniać ludzi...

\*

Gdym przechodził przez kładkę, dostrzegłem tonącego robaczka. Widziałem, jak do-  
płynął do maleńkiej mielizny, jak znów stracił grunt, spłynął i zanurzył się i wypłynął.  
Czemu się szamoce ten drobny owadek? Czy drogie mu to drobnutkie życie, zewsząd  
zagrożone, które lada chwila może i musi utracić?  
A człowiek? — błysnęła mi nagle myśl.  
Aby robaczka wyratować, trzeba zejść z kładki i zamoczyć się po kostki — czy warto?

Ofiara

I usłyszałem głos:

— Jeżeli teraz nie zechcesz ponieść drobnej ofiary młodzieńcze, aby uratować robaka, to będąc dojrzałym, nie poniesiesz większej, aby uratować człowieka.

Z jakim zadowoleniem patrzyłem, jak otrzepywał się, gładził i prostował skrzydełka na mej ręce.

— Nie zobaczymy się więcej. Leć i bądź szczęśliwy.

\*

Kocham cię, Wisło szara, zarówno wtedy, gdy spokojnie i równo toczysz swe wody, poprzecinane mieliznami żółtego piasku, jak i wtedy, gdy zrywasz tamy i wały, znosisz mosty i grozisz ludziom, jak wtedy, gdy skuta lodowym pancierzem, biała śniegiem zamierasz, aby znów z pierwszym tchnieniem wiosny zbudzić się i szeptać prastare historie nieszczęsnego kraju od chwili, gdy Wanda spoczęła w twym łonie, bo ręki nie chciała dać obcemu.

Wisło szara, nie zamieniłbym cię na dumną Tamizę ani zawrotną Niagarę, ani tajemniczą Zambezi, ani magiczny Ganges. Tamte, może stokroć piękniejsze, mówiłyby do mnie językiem, którego nie rozumiem.

Wisło szara, kocham twe brzegi, porośłe krzywą wierzbina, która przegląda się w twych nurtach, kocham twe piaski i gwiazdy, które kąpią się w twych wodach.

\*

Kocham nocy tajemniczą nieskończoność, wobec której czuję się małym robaczkiem, zagubionym w przestrzeni i czasie, a mając świadomość tego, korniej myślę, łagodniej pragnę, ciszej marzę.

Błogosławię ludzkość w jej dążeniu do ideału.

\*

O, jak mi tu będzie dobrze.

Oto piszę, patrząc na sosny, słuchając ich szmeru. A gdy zamknę okno, zgaszę świecę i położę się wreszcie, nie będzie mi migać światło latarni gazowej, ale gwiazdy i księżyc spoczną na mej głowie. Nie usłyszę turkotu dorożki lub krzyku pijaka, lub prostytutki i będę pił ukojenie i czerpał je, jako skarb cenny do Warszawy, na długie miesiące.

Jutro znów wzrok mój bując będzie po łąkach i polach, wznosić się na wierzchołki drzew, gubić w niezmierzonej jasności słońca.

27 czerwiec

Poszliśmy plantem na spotkanie zachodu słońca.

Nad nami chmury czarne, groźne, ponure, a na zachodzie niebo szkarłatem płonie: mieni się, krwawi, skrzy. Jasność niezwykła stanowi majestatyczny kontrast ze zwieszoną nad naszymi głowami chmurą. Natura zdaje się mówić nam dwom młodzieńcom pełnym wiary, siły, nadziei i miłości.

Patrzcie, ten tor kolejowy, ginący w niepochwytnej dali, to droga waszego życia; chmura — smutki, troski, cierpienia, lży wasze. Uroczę w dali obrazy mamieć was będą; ścigajcie je wzrokiem długo, jak najdłużej, nie stracieć ani jednej iskiereki, póki płoną. A gdy zgaśnie ostatnia iskra, przenieście wzrok w głąb własnej duszy, i znów wszystkie je tam odnajdziecie.

Zatrzymałem się, pochwyciłem go za ramię.

— Patrz, jak pięknie.

A gdy słów mi zbrakło, by słowami wyrazić, co widzę i czuję, on zaczął śpiewać.

Przedziwna pieśń, zrozumiałem ją od początku do końca.

Młodość, zapatrzona w zachód słońca. A więc siła i poczucie niemocy, a więc poryw i niepewność, więc szalona na nic niepompna odwaga i dziecięca obawa; więc bezprzykładna buta i korne poddanie, więc radość niemal obłąkana i lżawa tęsknota, bezgraniczna ufność



i nieufność pełna obłądnego lęku; więc wiara i niewiara, miłość i nienawiść — tyle uczuć, ile jest obrazów we wszechświecie, a każdy obraz ma swą własną duszę.

Toć człowiek mikrokosmos jest wszechświatem.

Płynęła przedziwna pieśń z jego piersi młodej, a wyraziła to, czego słowami wyrazić nie umiałem. Jakże biedną jest mowa ludzka — czemu młodość nie ma własnej mowy, własnego słownika?

Pieśń jego była odpowiedzią na mój okrzyk zachwyty.

Więc zrozumiał, więc odczuł?

Gdy skończył, mieliśmy łzy w oczach. Czemu nie można zamienić się łzami jak ślubną obrączką?

Nie było ani przysięg, ani pensjonarskich zwierzeń. Podaliśmy mu rękę, uścisnęliśmy nasze dłonie, w milczeniu zespoliły się nasze dusze.

Nie świece paliły się przed ołtarzem, a słońce; nie ręce kapłana nas błogosławiły, a niebo; nie orszak weselny pełne obłądy składał nam życzenia, a sosny, brzozy, dęby; nie zagrały organy, ręką kierowane człowieka, a wiatr nam grał, przedziwnie grał.

Przejeżdżał pociąg. Usunęliśmy się z szyn i staliśmy blisko; tuż-tuż przed nami przemknął i znikł w kurzawie dymu.

Krwawy kolor nieba przeszedł w różowy, potem złoty; niebieski kolor szarzał, barwa szara zmieniała się w czarną. I wił się już tylko wąski i jasny pasek.

Mówiliśmy o muzyce i poezji, o doli i niedoli ludzi, o walce ze złem, o braterstwie ludów, o miłości bliźniego, o dniu jutrzejszym ludzkości.

Przeżyłem najpiękniejszą godzinę swego życia, więc czemu chciałbym zapłakać?

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/korczak-bobo/>

Tekst opracowany na podstawie: Janusz Korczak, Bobo, wyd. G. Centnerszwer, Warszawa 1914.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Biuro Rzecznika Praw Dziecka

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Biurem Rzecznika Praw Dziecka.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Jakub Mięsikowski, Paulina Choromańska, Sylwia Głuszak, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0377-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).